Nr. 9. Lwów, Niedziela dnia 28. Października 1877 r. **Tom VI.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

JĘZYK POLSKI W SZKOŁACH ŚREDNICH.

Kilkakrotnie już wspominaliśmy w „Tygodniu" o zaniedbaniu nauki języka polskiego w gimnazyach i szkołach realnych. Gdy podnosiły się z wielu stron głosy, że nauka języka niemieckiego w szkołach naszych nie zbyt pomyślnie się rozwija, wyjaśniliśmy dokładnie, iż jedynie W. ministerstwo było temu winno, nie starając się o specyalnych tego przedmiotu nauczycieli, nie tworząc odrębnej grupy egzaminacyjnej dla tego przedmiotu. Złe w tym kierunku już usunięto, ale nie usunięto innej anomalii, prawdziwie dziwacznej, a szkodzącej niesłychanie rozwojowi nauki języka polskiego w szkołach naszych.

Nie wszyscy kandydaci nauczycielstwa szkół realnych składają egzamina z języka polskiego przed komisyą egzaminacyjną we Lwowie; owszem wielu bardzo składa je w Wiedniu, a jak doświadczenie przekonywa, udają się do Wiednia ci z kandydatów, którym egzamin z języka polskiego albo nie powiódł się we Lwowie, albo którzy nie mają nadziei powodzenia.

Egzaminatorem języka polskiego w Wiedniu jest sławny slawista Miklosich, znający zapewne teoretycznie język nasz wybornie, ale nie władający nim wcale. Czyż to nie śmieszne, że kandydat na nauczyciela języka polskiego pisze rozprawę egzaminacyjną po niemiecku? Czyż to nie śmieszniejsze jeszcze, że egzamin ustny składa po niemiecku?

Taki proceder egzaminacyjny przekonać zapewne może egzaminatora o tem, czy kandydat umie historyę języka i gramatykę—ale w żaden sposób go nie przekona, czy biegle włada językiem polskim. A to ostatnie jest przecież rzeczą najważniejszą w szkołach średnich, gdzie nie ma wcale sposobności do lingwistycznej analizy porównawczej, ani do zaciekania się w subtelności starosłowiańskie. W szkołach średnich zniewolonym jest nauczyciel przedewszystkiem ubiegać się o to, aby uczniowie poprawnie mówili i pisali *dzisiejszym* językiem polskim. Nie przeczymy, że niezbędną jest rzeczą, aby nauczyciel miał dokładną znajomość historyi języka, aby przestudyował zabytki starosłowiańskie, umiał sobie zdać sprawę z pomników dawnego języka polskiego — ale powtarzamy jeszcze: przedewszystkiem powinien wyrażać się poprawnie i biegle.

Niestety słyszymy o egzaminowanych w Wiedniu nauczycielach języka polskiego, że nie tylko nie posiadają, że się tak wyrazimy: słuchu językowego, ale po prostu nie znają gramatyki.

Pozwolimy sobie przytoczyć autentyczne wyrażenia tych panów: „Uczę *polskie* w klasie piątej," (uczę polskiego §. 671. 3. grmt. Małeckiego); szukałem *twoje zadanie* (twojego zadania §. 669); nie bierzemy teraz *gramatykę* (gramatyki §. 640) itd. Dodać do tego należy inne jeszcze błędy rozpowszechnione w Galicyi wschodniej, jak wyrażenie: „potemu," zamiast „potem;" te książki *leżeli*, zamiast „leżały," tudzież złą wymowę, jak np. *„proszy ci,"* co ma znaczyć „proszę cię" — a będziemy mieli obraz nader smutny rozwoju nauki języka polskiego.

Nie dziwić się w skutek tego, że nauczyciele matematyki, fizyki, chemii itd wyrażają się: „pochylił *ich*" zamiast „je" (magnesy); jeżeli *my* podnosimy, jeżeli *my* wykreślimy," *„komu* się to równa" — zamiast „czemu" itd.

Już dosyć złego dla ucznia, że po za szkołą pozostawać często musi pod wpływem żargonu wschodnio-galicyjskiego, szkoła nie powinna więc tego złego pomnażać, przeciwnie: obowiązkiem jej usuwać złe z po za szkoły przyniesione i przez uczniów swych szerzyć właśnie poprawność, czystość języka. Tacy atoli nauczyciele, o jakich wspominamy, powołani do nauczania języka polskiego, szerzą jedynie skażenie języka i nadają żargonowi pieczęć powagi szkolnej.

Okoliczności przytoczone przemawiają stanowczo za tem, aby Ministerstwo odjęło komisyi wiedeńskiej prawo egzaminowania z języka polskiego kandydatów dla szkół średnich. Egzamina, składane u tak znakomitego uczonego jak pan Miklosich, cenimy wielce, ale uważamy je dla *szkół średnich* za szkodliwe, przyznając z drugiej strony, że nie ma większej powagi do rozsądzania o znajomości języków słowiańskich, ale ze stanowiska, że tak powiemy, archeologicznego.

Nie potrzebujemy dodawać, że nie tylko nauka cierpi na tych egzaminach wiedeńskich, ale i względy pedagogiczne domagają się zmiany na lepsze. Uczeń przechodzi z pod nauczyciela — o jakim była mowa, do wyższej klasy, w której uczy nauczyciel dokładnie język znający, mówiący nim biegle. Rzecz prosta, że energicznie się zabiera do wykorzenienia wszelkich „potemu" itp. Uczeń, przekonawszy się, że nauczyciel poprzedni i źle go uczył i sam źle mówił, traci dlań poważanie, rozszerza w zakładzie śród młodszych uczniów lekceważenie sciencyi profesora i tem samem ubezwładnia wszelką jego działalnośó pedagogiczną i dydaktyczną. Cały zakład cierpi na tem, szkoła traci na powadze i na tej, że tak powiemy nadużywając wyrazu, nieomylności swej względem ucznia.

Jeszcze raz zwracamy się z uwagą naszą do opinii publicznej i domagamy się stanowczo rozporządzenia, któreby egzamin z języka polskiego, jedynie we Lwowie, lub w Krakowie składać dozwalało.

KRWAWE ZNAMIĘ.

POWIEŚĆ

przez

J. J. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Jeden Eugenek, pieszczone dziecko i wychowanek natury potrosze, który ani się hamować nie widział potrzeby, ani żywości swej i wesołości studenckiej ukracać, po chwilce spoczynku ruszył się żwawy, swawolny, niecierpliwy, budząc wszystkich zapytaniami i okazując, że niczyjej powagi wyższą nad potęgę swej młodości nie uznaje. Tknęło to Spytka, nawykłego do wielkiej w domu karności, ale przy obcym nie śmiał się odezwać.

Chłopak był całkiem Francuzik, przez najemników wychowany i do panowania im przywykły. Ani wejrzenia matki, ani uwagi ciche księdza, ani smutne milczenie ojca, nie mogło weselu jego, roztrzepaniu, żywości, położyć pewnych granic...

Ciche pokoje zamkowe, w których oddawna wesoły śmiech się nie rozlegał, po raz pierwszy od lat wielu posłyszały odgłosy wiosenne tej radości, co nie wie z czego wyrasta, dla czego jest, a czuje się na świecie potrzebną ludziom i sobie. Tylko w sercu starego Spytka ten śmiech dziecka odbił się jak okropna wróżba ciężkich boleści, któremi się musiał opłacić; ścisnęło mu się serce myślą, że Eugeniusz ani przeczuwa ciężarów swej doli. Matka także to na ojca, to na niego patrzyła smutnie zdziwiona.

Dziecko w jednej chwili uścisnąwszy ojca, potem ucałowawszy mu nogi, pobiegło do matki, aby jej nie być zaległem w pieszczotach; z ciekawością przemyszkowało kątki wszystkie, zajrzało gdzie tylko mogło, wdrapało się do okna, powąchało stare księgi ojcowskie, i jużby się było chciało wyrwać na swobodę, aby księdzu swemu pokazać cały zamek... opowiedzieć, co niegdyś tu od sług słyszało... polatać...

A jednakże ten trzpiot tak swawolny miał mimo fizyognomii swej dziecięcej lat szesnaście przeszło, ale pieszczoty czyniły go w pewnych względach jeszcze tak młodocianym roztrzepańcem.

Przeczuciem matki wiedziona, chcąc razem syna uwolnić z tego więzienia, a ojca z nauczycielem zbliżyć, pani Brygida skinęła na niego, aby z nią wyszedł i wywiodła go z sobą do sąsiednich pokojów.

Eugenek widywał je co roku, ale zawsze dziwny zamek ów zaciekawiał go tysiącem rzeczy. I tym razem wybiegł, witając najprzód trupią głowę w rycerskim hełmie, z zuchwałością śmiałka, który się już nawet śmierci nie lęka, a potem ścigając milczącą matkę pytań tysiącem.

— A to ta babusia... panienka z czerwoną pręgą na szyi, której historyi nikt mi powiedzieć nie umiał, czy nie chciał... ale się ja jej muszę dowiedzieć, paplał żywo. Ja już mam lat szesnaście, nie jestem dzieckiem, jestem mężczyzną — powinienem znać historyą domu. A to ten stary, ogromny, straszny pradziad, którego nazywano miecznikiem, choć nim nie był.

Matka nic nie odpowiadała, on wciąż biegał, witał, zaglądał.

— To dziwna rzecz, — mówił — od tylu lat zawsze tu wszystko na swojem miejscu. W pokoju ojca... w tych salach... nic nie drgnie, nic nie przybywa, nic się nie starzeje. Ludzie ci sami... zdaje się, że wczoraj ztąd wyjechałem...

— Słuchaj Eugenek — usiadłszy w kątku sali okrągłej i przyciągając go ku sobie, odezwała się Spytkowa, tyś mnie zrozumieć powinien. Wyprowadziłam cię umyślnie, aby ci powiedzieć rzecz jednę... aby cię przestrzedz.

— Przestrzedz? dobrze... — odparł chłopak — ja jestem posłuszny, gdy tylko mogę.

— Widzisz, jak tu wszystko nieme, milczące, poważne dokoła ojca, który smutek jakiś dawny nosi na sercu... Ty jesteś młody, ty potrzebujesz wesela i hałasu, ale one ojcu mogą być przykre... Wstrzymuj się.. nie trzpiotaj, nie śmiej się.. bądź uważniejszym, z poszanowaniem i umiarkowaniem.

— Moja mamo, — rzekł Eugenek — to dobrze; ale kiedy mi w duszy wesoło, że was widzę, żem tu przybył, jakże to ukryć?

— *Być wesołym*, lecz nie *okazywać* tego.

— Matko, to zawsze będzie rodzaj kłamstwa.

— Prawda, dziecko moje — smutnie odpowiedziała Spytkowa — na co ja cię go mam uczyć? Zawcześnie nauczy cię tego życie... A więc...

Umilkła i pocałowała go w czoło.

— Bądź jakim cię Bóg stworzył, jak ci serce wskaże... a co ma się stać, to się stanie...

— A cóż się może stać, matko? — zapytał chłopak.

— Nic, nic — ojciec jest człowiek stary, znękany, smutny; może cię wziąć za bardzo płochego i zmartwić się..

— Dlaczegóż ojciec jest smutny? albo nie pamięta, że był młodym i wesołym? — mówił Eugenek.

— Już dość, nie zadawaj mi pytań, dziecko moje... Niech cię Bóg błogosławi, niech...

Tu łza się jej zakręciła w oku, ale śmiech dziecka rzucił w nią jakiś promień radości i uśmiechnęła się także.

— Nie spytałeś o swego konia, — zawołała.

— A! prawda, mój koń, mój arab! Matko każ wyprowadzić araba! niech Tamara za szyję uścisnę. Czy on też mnie pozna?... czy zarży do mnie?

I klasnął w ręce i pobiegł do dzwonka na stoliku, a w chwilę słudzy się zbiegli i do stajen posłano, aby Tamar przyszedł młodemu panu sobą się pochwalić...

Gdy tu tak się kończyła rozmowa, w pokoju pana Spytka ks. de Bury, chcąc jak najtrafniej pochwalić się postępami wychowańca, pojętemi wedle swych zasad, każdym rysem, każdem słowem raził ojca, który bladł, czerwieniał, nie śmiał się jeszcze sprzeczać, ale przekonywał się coraz bardziej, iż wychowanie syna było chybionem, że człowiek któremu je powierzono, niewtajemniczony, pełen wiary w siebie, poprowadził je koleją wieku, do którego należał i kraju, którego był dzieckiem. Nie czas już było walczyć, cofać się, gniewać, potrzeba było kielich goryczy, najcięższy w życiu, wypić do dna, nie zmrużywszy oka, nie jęknąwszy nawet. Stało się.

Blady pan Spytek, z załamanemi rękami, słuchał milczący świergotliwego opowiadania, a oblicze jego tak straszna jakaś napiętnowała boleść, że wchodząca po półgodzinnej niebytności żona, przelękła się na widok jego, nie śmiąc jednak dać poznać po sobie, że to widziała... bo nie wolno jej było pytać. Siedziała milcząca. Eugenek tylko pobiegł do ojca, chwaląc araba, którego wyściskał i na którego już siąść pragnął...

Na skinienie Spytka, który widocznie cierpiał bardzo, pani Brygida wywiodła ks. de Bury i syna. Gdy drzwi się zamknęły, stary pochwycił się za krzesło, nogi pod nim drżały, wziął się za czoło palące, a potem powlókł do klęcznika i padł na kolana.

— Stań się wola Twoja, Panie! zawołał. Widzę zgubę rodziny w tem dziecięciu... Chciałem je uczynić czujnym pracownikiem w Twej winnicy, pokutującym za ojców winy, abyś się nad krwią naszą ulitował — nie zdołałem! Wszystko w mych rękach przeistoczyło się, *skarlało jak ja*, znędzniało... Nieuniknione przeznaczenie, wyrok Twój Panie nieprzebłagany się spełni... Łzy i modlitwa nie ocalają od zguby rodziny, na nią palcem Twym naznaczonej. Stanie się więc wola Twoja... rozsypie się w proch znikomo... Walczyłem do ostatka, pragnąc przemienić dolę naszę, wstrzymać śmierć; alem słaby... i oto padam, Panie, i jęczę: weźmij mnie, abym na ruinę nie patrzył i ostatka nie oglądał oczyma mojemi. Nie rychło przyszedł do siebie stary, a gdy ochłonął nareszcie i chciał wyjść do żony i syna, poczuł się tak nagle osłabłym że całą siłą zaledwie wywlec się potrafił z komnaty. Powolnym krokiem przeszedł, jakby żegnając się z niemi, puste sale zamkowe, stając naprzeciw portretów i duchem rozmawiając z niemi.

Tak dosyć smutno przeszedł ten dzień pierwszy pobytu Eugenka w domu rodziców, chociaż Spytek miałby się czem pocieszyć, gdyby po ludzku umiał przyjmować pociechę. Po obiedzie bowiem ks. de Bury przyniósł rozpakowany cały stos wypracowań, rysunków, zeszytów naukowych młodego trzpiota, który wielkie zrobił postępy. Pozornie dziecinny, umiał i wiedział więcej niż pospolicie w jego wieku chłopcy; ale ta nauka nawet raziła ojca, bo w niej na każdym kroku czuć było niecierpliwy umysł, który po za granice teraźniejszości sięgał, pragnąc burzyć i przetwarzać.

Gdy się wszyscy na spoczynek porozchodzili, a nauczyciel rozmyślał tęskno nad nudami, jakich w Polsce doznawać będzie, dla braku stosownego towarzystwa, gdy miał siąść i pisać wrażenia swe dla przyjaciół pozostawionych we Francyi, dla ks. Raynal'a i kawalera Beaumarchais, niezwykły o tej godzinie ruch jakiś dał się słyszeć na korytarzach. Ksiądz de Bury, nie budząc usypiającego wychowanka, wyszedł, aby się spytać, co się stać mogło; byłby wszakże z trudnością się rozmówił, gdyby wypadkiem nie przesunęła się w tej chwili blada jak marmur, zasępiona pani Brygita. Szła z oczyma wlepionemi w ciemność... z lampką w ręku... Ksiądz troskliwem pytaniem ją wstrzymał...

— Módl się, — odpowiedziała mu... pan i mąż mój niebezpiecznie zapadł...

— Cóż się stało?

— Nic... zachorował...

Była już noc, gdy sługa czuwający przy panu Spytku omdlałego podniósł z klęcznika, przy którym się modlił, i pobiegł oznajmić pani. Stary leżał z gorączką silną na łóżku. Natychmiast posłano po lekarza do pobliskiego miasteczka, a konie rozstawiono do Lublina, aby nad ranem mógł przybyć lekarz inny, Włoch, który największej sławy w okolicy używał. Spytkowa, na chwilę tylko odszedłszy od łoża męża, wróciła przy nim zająć swe miejsce, milcząca, ale przerażona tem uderzeniem piorunu. Spytek był nieprzytomny, odzywał się jakby do niewi-

dzialnych postaci łoże jego otaczających; to płakał, to milczał, lub modlił się. Potem, gdy chwilka snu jakby go pokrzepiła, budził się, poznając żonę, odzyskując zmysły, mówiąc chłodno i rozważnie; ale te jasne momenta trwały krótko, a po nich zaraz jakby mgłą oblekał się umysł i znów wracali owi umarli do łoża... gorączkowe halucynacye, łzy i modlitwy...

Na krześle przy starcu, łzy nie roniąc, marmurowo spokojna siedziała Spytkowa; słuchała i patrzyła, jak się pogląda na spełnienie wyroku nieuniknionego. Trudno było odgadnąć, co się w jej sercu działo, jakiem uczuciem biło ono dla tego człowieka, który był jej mężem, którego dzieliła życie, zdając się nie podzielać ani pojęć, ani bólów, ani gorączkowych wróżb przyszłości. Niekiedy nawet zdawać się mogło, że pani Brygita, wcielona do tej rodziny, ani wielkiego do niej przywiązania, ani nawet spółczucia dla jej losów nie miała. Jak ofiara wyznaczona dla cierpień, dźwigała je nie jęcząc, nie żaląc się, ale nie pokazując też po sobie, by serce jej udział miało jaki w tych igrzyskach losu.

Śród nocy już przybył naprzód lekarz z miasteczka, ale oprócz gorączki, której uznał istnienie, niczego nie mogąc się dobadać, przepisał tylko lekkie przeciw niej środki; przyczyny choroby były dlań tajemnicą... Tymczasem noc przeszła bez zmiany; nadedniem nastąpił sen i nieco ulgi... Doktor Włoch nadążył około południa, gdy znowu gorączka się powiększać zaczęła i stopniami ku wieczorowi rosła, co zwiastowało rozwijanie się choroby, ale charakteru jej jeszcze określić nie było podobna.

W domu posępna panowała cisza; nawet Eugenek z książką w ręku, spokojny i smutny, siedział w sali, a serce jego prawie po raz pierwszy w życiu poczuło obawę i niepokój...

Niekiedy blada matka wychodziła odetchnąć do sali, całowała dziecię w czoło, szepnęła słów kilka księdzu... i powracała do łoża..

(C. d. n.)

BOHDAN ZALESKI

wobec dziejów liryki polskiej.

STUDYUM A. G. BEMA.

(*Dokończenie*).

Kilka pierwszorzędnych*), a wiele drugorzędnych utworów naszego wieszcza, jako nie zmieniających zgoła wyrobionego już pod wpływem innych poglądu na rodzaj i stopień jego twórczości, w rozbiorze powyższym opuściłem. Należy do nich między innemi całe „wieszcze oratoryum,“ ostatni zbiór dum i dumek, pięknych często pod względem technicznym, a nacechowanych zwykłą u Bohdana tęsknotą i ascetycznym snem ducha.

Bohdan Zaleski jest to przedewszystkiem, jak wielokrotnie już spostrzegaliśmy, poeta-muzyk*), a w części i poeta-malarz, mistrz pieśni, cudotwórca barw i dźwięków. Zapatrzywszy się *sercem w niebo*, nie obfity w myśli, duma głównie o sobie i o Ukrainie: duma... i gra, a pod wpływem tej gry, jak pod wpływem czarów, świat się mieni w tonach i barwach... Czarodziejski talent poety umie muzyczne i malarskie pierwiastki mowy „to w tęczę, to w akordy *plątać, rozdzielać je we dźwiękach i błyskawic* wstęgach.“ Język dla niego jest niewyczerpanym skarbem, skarbem, który pomnaża twórczą swoją siłą. Słusznie może on powiedzieć o sobie, że „mowy nie umorzył,“ że ją oryginalnemi zwroty, nowemi wyrazy wzbogacił. Często, bardzo często można się spotkać u niego z wyrazem przestarzałym, rzadziej z gminnym, a niekiedy z zupełnie nowym. Nigdzie rażącej przesady, nigdzie zimnej sztukateryi: wszędzie prostota, a prostota okazała i królewska. Talent taki, lśniący niekiedy szczerem złotem w oryginalnej pieśni, wybornie się nadał do przekładów serbskiej muzy ludowej, gdzie owe dalekie od ckliwej zalotności „adamaszki i atłasy“ sielskiego artyzmu—jaskrawią się życia barwami, pachną wiosny kwieciem, a często i krwią młodą zakipią. Zaleski, jako tłumacz słowiańskich (serbskich i czeskich) pieśni jest naturalnie duchowym następcą Kazimierza z Królówki, którego niektóre w tym rodzaju spolszczenia (np. wyjątek z Kralodworskiego rękopismu „Zbyhoń“) są wierne i piękne zarazem. Bohdan podniósł te przekłady do wyżyn doskonałości. Nie możemy wprawdzie tego powiedzieć o wszystkich jego tłumaczeniach słowiańskiej liry**); ale cykl historycznych pieśni serbskich „Łazarz czyli bój Kosowski“ nie znalazł dotąd lepszego tłumacza; inne zaś tegoż ludu liryczne płody, nazwane przez Bohdana wiośniankami, są to w jego przekładzie istne perełki, oryginalne niemal na temat ludowy arcydzieła. Trudno doprawdy o coś w jakiejkolwiek literaturze piękniejszego w swoim rodzaju nad takie krewkie, przezrocze, a melodyjne piosenki, jak: „Serb janczar,“ „Jeden z trzydziestu,“ „Rozmowa kochanków,“ „Szczera,“ „Najmilsza woń,“ „Myśliwy,“ „Ani sposób ukryć się“ itp. itp.

Forma, jednem słowem, i zgodne z nią dalekie zarówno od płomiennego żaru*), jak i od chorobliwej ckliwości tętno przeważnie osobistego uczucia—to dodatnia strona płodów Zaleskiego. Jest on w tym względzie mistrzem, dotąd nawet szczęśliwie nie naśladowanym. Ujemną stronę natomiast określa niemożność przekroczenia zaczarowanego kręgu lirycznych natchnień na temat wspomnień „Matki-Ukrainy,“ oraz częste poświęcanie poezyi dla muzyki i myśli dla dźwięku. Ostatnie to znamię cechuje i pierwszorzędne cacka Bohdanowe; niekiedy jednak (np. w szumce „Nuże“) piewca ukrywa osnowę pod gazą efektów do tego stopnia, że poezya przeradza się w taneczną niemal muzykę. Głównym też, ujemnym rysem charakteru, jaki szczególnie, obok przymiotów dodatnich, odróżnia go od innych poetów polskich, jest to, że uprawia on *przeważnie* sztukę dla sztuki, nienawijając nigdzie na swe liryczne wrzeciono głębszej myśli i tendencyi. Ztąd i duch czasu, śród którego żył, słabe w jego dziełach odźwierciedlenie znajduje. Jedynemi utworami, gdzie, jak słusznie zauważył W. Grochowski (Tyg. Ilustr. r. 1873) „przejawia się udział Bohdana w ruchu społecznym,“ są krótkie w rodzaju wierszowanych maksym, niekiedy z barwą satyryczną wierszyki, zwane „pyłkami.“ W pyłkach tych uznał autor miłość i wiarę za kierownicę życia i mistrzynią poetów; dla tego też oddaje cześć Dawidowi i Dantemu („Król Dawid i my,“ „Dante,“ „Poeci europejscy,“ „Żal dzieci.“) Wierny „słowu bożemu“ w Ewangelii, wierny tradycyi „Słowika Bojana,“ słowiański malarz i piewca czci lud, pieśń ludową i ludowego poetę Homera („Homer“); a imię *Słowian*, zgodnie z prawdą, od *słowa* wywodzi („Czy Słowianie lub Sławianie,“ „słowo“ etc.) Kiedyindziej znów, zastanawiając się nad filozofią języka, wpada na wyraz *pokolenie* i powtarza za Kamińskim: „koło—po kole—pokoleń bez liku!“ Tu i owdzie wspomina o mistrzach i przyjaciołach („Trzej rówieśnicy,“ „Malczewski,“ „Roślinka“); gdzieindziej określa sam siebie („Żywa pieśń“), lub dotknięty fałszem, czy żądłem krytyki, odzywa się satyrycznie o „geografach,“ niedorosłych do wieszcza arystarchach i o płodzącej kwaśne dziczki literaturze.

Postać naszego piewcy (mimo, że na pierwszy rzut oka samotna) o ile jest odrębną, o tyle i pokrewną całemu szeregowi nowszych i dawniejszych poetów naszych**). Podobny on jest z filozoficznego a raczej religijnego nastroju do Mickiewicza i A. E. Odyńca, mniej do Krasińskiego; ze Słowackim *wewnętrznie* stanowiąc kontrast, spokrewnia się bogactwem języka***). W charakterze poety należącego do ukraińskiej szkoły, stanowi, jak to już wielu dowiodło, między Malczewskim a Goszczyńskim przejściowe ogniwo

*) Do opuszczonych, z powodu szczupłości ram, pierwszorzędnych utworów należy, między innemi, fantazya „Most kalinowy“ i prześliczny wiersz „Okolica Alpejska,“ pisany prawdopodobnie podczas zwiedzania w r. 1840 wraz z Adamem uroczej Szwajcaryi.

*) Czuł widać i sam poeta dobrze swe z muzykami powinowactwo, gdy pisał:

„Niech co chcą i z orkiestrą grzmią muzykotwórce,
Ja ditto bez zachodu wygram na bandurce.“

**) Nie jest np. (pomimo gładkości języka) po mistrzowsku oddaną przyswojona również i literaturze niemieckiej przez Goethe'go, piosenka czeska „Kytice“ (wianek), która w zbiorze Zaleskiego nosi nagłówek: „Pieśń staroczeska z rękopisu kralodworskiego.“ Bohdan, jako tłumacz tej słowiańskiej niezapominajki lirycznej, idzie wskazanym przez Brodzińskiego torem: opisuje myśl treściwą oryginału, niepostrzeżenie zmienia rytm, a każdy wiersz dzieli na dwoje. Oto dla przykładu początek w tekście i spolszczeniu:

tekst:

Véje větříček s kniežeckych lesóv;
běže zmilitka ku potoku.
Nabiera vody v kovana vědra,
Po vodě k děvě kytice plyje.“

spolszczenie:

„Książęcą dąbrową
Wietrzyk wiać poczyna;
Po wodę zdrojową
Spieszyła dziewczyna:
„Nabrała w naczynie,
A gdy do dom bieży,
Wodą ku dziewczynie
Płynie wianek świeży.“

*) Jeden tylko z pomiędzy znanych mi utworów Zaleskiego dysze wspomnieniem *płomiennej*, zawiedzionej miłości, która według wyrażenia poety „*błyska w stu gwiazdach i w gromach zagasła.*“ Utwór ten, dźwięczący werterowskiem echem II. części „Dziadów,“ rzuca w oczy trudną na teraz do rozwiązania biograficzną zagadkę. Jest to wiersz w imionniku przyjacielskim, napisany pod Żeglarzem A. M.“ Czyżby w nim nasz piewca wspomnienia druha Adama odtwarzać się starał?...

**) Dałoby się przeprowadzić odpowiednie paralele między Z. a niejednym z zagranicznych poetów, np. z francuskim Lamartinem; zadanie to jednak przekracza ramy naszego studyum.

***) Porównaj podobne zdanie p. K. W. Wojcickiego w „Ostatnim klasyku.“ Warszawa, 1872.

*

łańcucha. Pierwszy przedstawia w swej „Maryi“ ogólny tylko obraz uroczego Naddnieprza. Zaleski swą ziemicę opisuje już szczegółowo; a kreśląc poetycznie w dumach jej historyę, zatrzymuje się u progów krwawego dramatu domowej rozterki; na to zaś *purpurowe* pole śmiałą stopą wkracza mało podobny do Bohdana spółziomek jego i rówieśnik Seweryn. Rytmicznością wiersza i świeżością języka zbliża się nasz poeta do Pola (mniej do Syrokomli); stylem i łagodną barwą uczuć do Lenartowicza. Z pomiędzy przedstawicieli epok poprzednich najbliżej Bohdana dziejowo i genetycznie stoi Brodziński; z dawniejszych: Karpiński, Kniaźnin, Kochowski; głównie zaś Szymon Zimorowicz, Szymonowicz i Kochanowski. Temu ostatniemu oprócz chłodnej wzmianki w „pyłkach“ poświęca nawet Zaleski obszerniejsze wspomnienie w „przechadzce po za Rzymem“ (pisanej około r. 1838): podobnie jak niegdyś Byron, pielgrzym słowiański, ścigany widmem oglądanej w muzeum kapitolijskiem rzeźby „konającego gladyatora,“ szuka wypoczynku w rozkosznem Tivoli, a kąpiąc ducha w ojczystych wspomnieniach, natrafia myślą na Jana z Czarnolesia, którego przed trzema blisko wieki żądza nauk do wiecznego grodu przygnała.

Bliższe zestawienie twórczości Zaleskiego z twórczością któregokolwiek z wymienionych poetów może być przedmiotem wielu prac, bardziej niż nasza ze swego założenia specyalnych. Nam tu szło jedynie o stosunkowe scharakteryzowanie wieszcza, który jako liryk bezwarunkowo do plejady pierwszorzędnych należy, chociaż jako mistrz słowa w ciaśniejszym niż drugorzędne talenty zamyka się kole.

Artykuł powyższy, napisany jeszcze we wrześniu 1875 r., miał znaleść pomieszczenie w jednem z literacko-naukowych pism warszawskich. Powód jednak zewnętrzny, niezależny zarówno od autora jak i od redakcyi, ów *stały powód lokalny*, który chmurom, według wyrażenia Słowackiego, moc piorunową odbiera, skazał ramotę na zamknięcie w tece. Dziś gdy się dowiaduję, że „Tydzień“ halicki nie odmówi może temu „promieńcowi“ w łamach swych przytułku, winienem, pomijając dla braku czasu rozbiór nie umieszczonych w wydaniu petersburskiem utworów, wyjaśnić choć pobieżnie przyćmiony z konieczności pogląd na duchowy charakter poezyi i naczelną dążność sędziwego śpiewaka z nad Dniepru.

Wszak wiemy, czem jest w dumach a dumkach dla naszego arcygęślarza czarodziejskie słowo „Matka-Ukraina?“ Jest ono świętym znakiem wspomnienia matki-niewiasty, pierwszych wrażeń, dziedziny ojczystej; Ukraina jest dla niego tem, czem dla Mickiewicza Litwa, dla Gosławskiego Podole, dla Lenartowicza Mazowsze... I niczem więcej? O większą jeszcze i jakąś szczególną ma ona w duchowym jego skarbcu wartość: oznacza młodość minioną, minione szczęście, przebrzmiałe dzieje, rozdartą unią trzech ludów.

Zaleski jako bard polsko-ukraiński jest najdoskonalszym, najbardziej jednolitym przedstawicielem swej szkoły, zarówno z filozoficzno-artystycznego, jak i narodowego stanowiska. Ten zgodny z samym sobą czciciel raz uświęconych ideałów, ten pełen religijnego spokoju konserwatysta i wytrwały na niwie ojczystej pracownik, stoi w naszych oczach wyżej i od bajronisty Malczewskiego i od burzliwego *proteusza-zaporożca* polskiej poezyi, Seweryna. Lutnia Bohdana jest wprawdzie zbyt monotonną: nieutulony żal za tem, co minęło, jednobarwnym wszystkie pienia okrył kolorytem. Poezya jego, to symfonia dźwięków przeradzających się w ludzką mowę, to harfa Lilli Wenedy, harfa zgasłych pokoleń, słowem *poezya przeszłości*, którą (nie śmiejcie się czytelnicy!) wartoby może było krytycznie porównać z rozwijającą się w odwrotnym kierunku wagnerowską *„muzyką przyszłości...“* Nie ma piewca siły stać się ani epikiem, ani dramaturgiem: gra tylko i kwili, kwili i gra ciągle, niby zawieszony między niebem a dnieprowskiemi *progi...* Ale nie zapominajmy, iż poeta, który język swego narodu tak znakomicie wzbogacił i *cały naród ukochał*, poeta ten długo... długo pracował po swojemu nad tem, aby „stare bratnie pojednać waśni...“ Nie pytajmy, czy celu swego dopiął — to było niemożliwe: dość, że gorąco pragnął i śpiewał jak umiał.

Jedni dopatrują się w nim *panslawisty*, inni mogą go *poetą prowincyonalnym* nazwać... Pierwszy zarzut nie ma, jak to już powiedziałem, żadnej gruntownej podstawy: śpiewak bowiem w dziejowych rapsodach nie przechodzi pod żadnym względem zakresu *polskiej Ukrainy*. Kocha słowiańską rodzinę — to prawda; ale w swem samopoznaniu, jako lutnista, jest *ukraińcem-Polakiem*. Świat jego w ogóle duchowy przedstawia się w trzech regionach, w trzech kołach o spólnym środku, a różnym promieniu: pierwsze koło Ukraina, drugie, większe — Polska, trzecie kościół katolicki w ludzkości i ludzkość w kościele. Często trzy te kręgi zacieśniają się w głównem ognisku, niekiedy znów rodzinna Ukraina brata się z ojczyzną i niebem...

Co się tyczy drugiego zarzutu, mianowicie *prowincyonalizmu*, to ten, jak łatwo spostrzedz, na licznych a niezachwianych opiera się dowodach. Więcej powiemy: że Z. jest prowincyonalistą, że częstokroć pisząc o Małorusi, zapomina jakoby, o Polsce, to dla jego czytelników jasny jak słońce pewnik. Ale toż-samo zarzucamy od dawna i innym wieszczom naszym. Wszakże już mija blisko pół wieku jak Stefan Witwicki, pisząc „o prowincyonalizmie między Polakami,“ ganił surowo a dowcipnie zwyczaj poetów, którzy sobie Podole, Litwę, Wołyń, *Ukrainę* za ojczyznę obierają: „tym sposobem — dodaje autor „Wieczorów pielgrzyma“ — biedna Polska nie wyjdzie nigdy z rozbiorów.“ Na zdanie to w zupełności się i dzisiaj piszemy. W kwestyi jednakże *Zaleskiego* i *Ukrainy*, kto wie, czy nie należałoby się zgodzić na wyjątek z pod ogólnego prawa: raz, że pamięć o tem rodzinnem ustroniu, które jest dla Bohdana i ziemią obiecaną i niebem i wszystkiem — stała się, że tak powiemy, kluczem jego natchnień i nadała właściwy charakter muzie, a powtóre, że głos *lechickiego pielgrzyma*, wzdychającego za *„Matką-Ukrainą,“* nie sprzyja widocznie żadnemu z podziałów: owszem, powołuje do życia starą ideę jedności narodowej i historycznego państwa od morza do morza...

Gdy piszę to dopełnienie, przychodzi mi jeszcze na myśl, iż piewca intuicyjny, ten najstarszy z pomiędzy żyjących dotąd nielicznych członków Mickiewiczowskiej drużyny, dziwną między braćmi po piórze odznaczał się zawsze skromnością: śpiewał na nutę słowika, a śpiewał z wewnętrznej potrzeby, niechętnie sięgając po laury, które mu się tak słusznie należały. Mamy oto przed sobą edycyę poznańską z roku 1841 (tom I), gdzie wydawca w przedmowie oświadcza publiczności, że poezye, które na widok publiczny wychodzą, pozostałyby może na zawsze nieznanemi, „gdyby *głos znakomitej Polki* nie był ich wyrwał niejako z więzienia.“ Skromność ta pozostała, jak się zdaje, po dziś dzień cechą charakteru wieszcza, który choć „śnieg z włosów pruszy i smutki skroń zmięły,“ choć dokoła duch nowy obłokiem chłodnego wspomnienia otula dawne ideały, „mnoży“ jeszcze „dumki“ i wzdycha za wniebowstępną młodością. „co w kończyny światów trąca.“ Cześć gęślarzowi narodu, cześć prawdziwemu kapłanowi słowa!

Kielce 5go kwietnia 1877 r.

A. G. Bem.

WET ZA WET.

OBRAZEK Z ŻYCIA KRAKOWSKIEGO,

przez

AUTORA: „KŁOPOTÓW STAREGO KOMENDANTA“.

(Ciąg dalszy.)

— Powiedz mi pan — rzecze znów panna — kto jest ten pan?

— Kandydat na adwokata — przyjaciel mój, Tadeusz Rekursowicz.

— Bardzo miły chłopiec, prawda Joasiu? przyrzekł nam towarzyszyć do Wieliczki... powinszować panu takiego przyjaciela.

Nie było co powiedzieć przeciw temu; różne są na świecie gusta, — musiał zatem wysłuchać Pawełek częstych zwrotów rozmowy do tego samego przedmiotu, jakim był dla Ludki pan Tadeusz.

— Sądzę, że mu pan to powtórzysz, jako przyjaciel?

— Nie wiem, czy to będzie bezpiecznie — odrzekł młody doktór, gdy ciocia daje mu nieme znaki, aby tego nie czynił.

— A jakież pan widzi w tem niebezpieczeństwo?

— Bardzo wielkie, jeżeli taka zachęta wychodzi z ust pani.

— Mam to przyjąć za komplement?

— Za najświętszą prawdę.

— Aha! dlatego też pan, unikając tego niebezpieczeństwa, wolałeś użyć zastępcę?

— Nie znałem pani...

— Jeszcze lepiej, jeszcze grzeczniej ze strony pana.. Zapomnieć swojej przyjaciółki z lat dziecinnych, wyprzeć się jej znajomości... Moi panowie, jak to wy wszyscy zbyt lekką macie pamięć, a żeby jeszcze i ta nie obowiązywała, to zrządzacie małe *qui pro quo*, rodzaj zabawki, cokolwiek niższego rzędu niż doktorskiej... I to się nazywa u pana serdeczne, przyjacielskie, po dwunastu latach niewidzenia, przywitanie!

— Widzisz, Pawełku, nie mówiłam, co? Wstyd ci teraz, rumień się, o jeszcze lepiej się rumień... tak, niech ci łzy stoją w oczach... powinieneś jak bóbr płakać za to głupstwo.

Rzeczywiście, dotkliwe wymówki panny Ludwiki oddziałały tak żałośnie na serce pana Pawła, że mimowolnie oczy mu zaszły łzami. Lecz, po chwili, postanowił zakończyć tak męczącą wizytę.

— Pozwolą panie pożegnać się — mówi, zabierając się do wyjścia.

— A jakże będzie z konsultacyą lekarską? — pyta niby obojętnie panna Ludwika.

— Ne mogąc zaufać swoim wiadomościom,

co się tyczy tak skomplikowanej choroby, jaka jest u pani, sądzę, że najlepiej będzie poprosić którego z profesorów...

— I rzeczywiście, pan sobie nie ufa.

— Przynajmniej tam, gdzie to dotyczy pani...

— Ach, prawda, jestem cała niebezpieczeństwem dla pana.

— Ludko, serce — rzecze ciotka — lepiej niech zawezwie kogoś do narady.

— Dobrze, jeżeli pan tak łaskaw, czekamy jutro o jedynastej... — a podając mu rękę na pożegnanie, dodaje już we drzwiach — tylko też weź pan już prawdziwego doktora...

Zirytowany do żywego, wybiegł nasz bohater z hotelu, i aby ulżyć sercu, a przytem wysapać się i wydąsać do woli, puścił się bez myśli i celu po plantacyach w kierunku Wisły.

Trudnoby nam po porządku opisywać całą mozaikę myśli przebiegajacych w tej chwili po mózgu szanownego doktora, jak trudno uchwycić malarzowi te mieniące się barwy słonecznego światła, oblewające przy zachodzie słońca tytaniczne kształty obłoków. Widzieliśmy tylko, że biegł bez pamięci z osuniętym na tył głowy kapeluszem, że machał laską coraz energiczniej, że rozmawiał z sobą, zaciskał zęby i patrzył tak dziwnie przed siebie, że przechodzący po plantach żołnierze usuwali mu się z drogi, a przestraszone dzieci chowały się za spodnice swych nianiek.

— Panie Pawełek, panie Pawełek — daje się słyszeć za nim znajomy głos Goldfelda.

— Czego pan chcesz?

— Czy to prawda, co przyjechała ta córka handlarza od drzewa z nad Niemna?

— Daj mi pokój, nie wiem o żadnej córce...

— Ny, ten Tadeusz mi powiedział, co jest, ale takie *fein* jak grafina; co one bierze sukcesye ze Lwów... co one stoją w Saski hotel..

— To i cóż z tego?

— Jedna jest panna, a pan Pawełek wie, co jemu żon potrzeba... a ona taka bogata a wa! jeden stokroć guldenów.

— Mój panie Goldfeld, nie nudź mię i żoną, i grafiną, i tym krociem guldenów, — ja nic nie chcę...

— Wielge rzecz, że pan nie chce; ale Goldfeld chce za swoich wekslów? Czego się gniewać, ja panu Pawełek dobrze rzyczę...

— Mówię ci, daj mi pokój! jestem zły jak dyabeł...

— No, no, niech się pan Pawełek nie gniewa, ja z przeproszeniem mam małe prośbę.

— Słucham, tylko mów prędko, bo nie mam czasu.

— Jak one te sukcesye odbiorą ze Lwów, i chciałyby kupić jakie papiery, albo ruble, niech ja sprzedam...

— Ależ ja nie wiem o żadnej sukcesyi?

— No, no, no, to też jak będzie, bardzo proszę panie Pawełek, niech pan o Goldfeld pamięta... niech ja zarobię..

Ledwie że pozbył się natrętnego wekslarza, i rozpuściwszy znów wodze żalowi, przeprawił się za Wisłę, pędząc samotnym brzegiem gdzieś daleko, aż za Zwierzyniecki klasztor.

Kobiety zręczne, a z sercem, rozmaitych sposobów używają dla okazania swej niełaski i dokuczania mężczyznom. Jedne rozpływają się we łzach i spazmują, drugie milczą uparcie, inne jak rozsrożony Jowisz rzucają pełną garścią pioruny, inne wreszcie szydzą, delikatnie wprawdzie, lecz z wytrwałością godną lepszej sprawy. A dziwna rzecz, umieją tak szybko ocenić charakter mężczyzny, do którego metoda ma być aplikowaną, że jakkolwiek dokuczą, to zawsze poza tem dokuczeniem zostawią niedomkniętą furtkę, przez którą przebaczenie przecisnąć się może. Cała sztuka w tem, aby trafić na tę furtkę...

Nasz doktor należał do rzędu tych mężczyzn, którzy woleliby, aby ich natychmiast obito, niż szydzono tak delikatnie. podając dawki co godzina, aż do skutku. Dlatego dąsał się, wpadając w pasyę, a swoją drogą czuł winę, lecz nie mógł odgadnąć sposobu, jakimby ją mógł zmazać.

W stanie więc wysokiego rozdrażnienia, późno już wrócił do mieszkania, a choć położył się do łóżka z zamiarem przespania tego nieszczęścia, to szafirowo-zielone oczy panny Ludwiki do tego stopnia oblewały go szyderczowabiącem spojrzeniem, że dostawał drżenia serca, którego nawet zimne okłady uspokoić nie mogły.

W tem nagle ktoś poruszył dzwonkiem w przedpokoju.

— Kto tam?

— To ja, Marysia, od pani gospodyni — mówi cieniutkim głosem przezedrzwi, — stróż Jakób nagle zachorował, i pani też kazała prosić pana doktora.

— A gdzież on jest?

— Leży na dole w szlafbanie, prawie bez życia.

— Dobrze idę natychmiast.

Ubrawszy się naprędce, pan Paweł zabiera podręczny pugilaresik z narzędziami, i zbiega do bramy. Koło stękającego przeraźliwie Jakóba stoi już kilka kobiet z zafrasowaną miną: jest szewc z podwórza trochę podcięty, bo trzymając świecę nad chorym, kapie mu bez ceremonii na nos stearyną, jest i młoda właścicielka domu, bardzo ujmująca tłuścioszka, z zastraszonemi oczami.

— Panie doktorze, ratuj go! — rzecze z błagalnem spojrzeniem — zdaje mi się, on umiera.

Rzeczywiście, rozciągnięty w skrzyni Jakób w białej świętalnej kapocie, leżał bez czucia; Pawełek przystąpił do niego, według wszelkich reguł praktykowanych w klinice, rozpiął kapotę, posłuchał, popukał, wziął za puls, i tyle wiedział, co wszyscy otaczający.

— Rozebrać go, i ułożyć spokojnie...

— Ale niema niebezpieczeństwa? — pyta strwożona gosposia.

— Trudno osądzić, gorączka silna, oddech przyśpieszony...

— Ja miotły nie dam, oj, nie dam! — bąka chory Jakób — wciórnascy z taką robotą.. co mi tam bukiet... ty ciarachu stróżuj... pókim dobry...

— Widzi pan, majaczy, co?

— Maligna — mówi Paweł — rzeczywiście nie dobrze.

— Ino ciągle gada o tej miotle — wtrąca przekupka — a tak się ciska, jakby się z kim bił...

— Niech pani będzie spokojna, i idzie na spoczynek, rozbierzemy go, i będziemy robić co można. Moż będzie tyfus... może jaka inna zapalna choroba, zapiszę mu miksturę, a jutro zobaczymy.

Wypadek ten kompletnie zaabsorbował pana doktora; poleciwszy ułożyć w skrzyni chorego, wezwał przekupkę na górę, zapisał lekarstwo, rozpowiedziawszy jak mu takowe zadawać — a po jej odejściu zadumał się naprawdę nad tą szczególniejszą, a tak gwałtowną chorobą. Był to pierwszy pacyent Pawełka, a objaw choroby tak dziwnie niezwyczajny, że wyjmując z szafki książkę po książce, czytał, medytował, notował do godziny trzeciej w nocy. Nic: tylko tyfus z zapaleniem mózgu — skonkludował, kładąc się na spoczynek, ułożywszy sobie już porządny plan kuracyi.

Musiała być godzina dziewiąta z rana, kiedy go zbudziło silne kołatanie do drzwi; zerwał się więc na równe nogi, i pobiegł w szlafroku otworzyć.

— Jakże się ma chory? — pyta, chowając się za drzwi, w tem przekonaniu, że Marysia idzie z raportem. Lecz proszę sobie wyobrazić jego zdumienie, a gdy zamiast Marysi, wchodzi najprzód do pokoju miotła, a za nią rozczochrana głowa Jakóba...

— Jakóbie! — krzyknie przestraszony — co ty robisz?

— A cóż róbię... idę zamiatać...

— Ty, zamiatać? Czyś zwaryował! — mówi, sądząc, że Jakób w malignie.

— Oloboga, cóż też się stało panu dochtorowi! — Dyć to dziesiąta godzina, a pan i śpi i śpi...

— Ależeś ty chory, Jakóbie?

— Eh, kaj ja ta chory, ino wcora się ta trochę z temi fornalami z Saskiego fotelu zabałamuciłem, bo ten psia wiara stróż chwycił mi miotłę i trza się było wykupić... ten postawił, ten postawił, i ino...

Pan Paweł należał do grona tych dobrodusznych lekarzy, co jeszcze święcie wierzą w nieomylność medyczną, i w stosy książek nadrukowanych w Berlinie, albo też w Wiedniu. Okoliczność zatem wyzdrowienia Jakóba, wbrew oczywistym symptomatom tyfus znamionującym — bardzo go zasmuciła. Wstyd mu było przyznać się do własnej nieznajomości, a wstyd ten powiększył się jeszcze, gdy schodząc do bramy, jak na złość, spotkał się oko w oko z młodą właścicielką domu.

— A cóż panie doktorze — rzecze mu z figlarnym uśmiechem — nasz chory nie umarł?

— Proszę pani, u tych ludzi, to prawdziwie końska natura..

— Jestem przekonana, że zdaje się panu, on tylko pozornie wyzdrowiał, co? Oj! panowie doktorzy, oj, panowie — kończy, grożąc mu paluszkiem.

— Trudno było wiedzieć, że on tylko pijany...

— A jednak szewc, lokator, od razu mi mówił... pokazuje się, że i szewcy czasami mają niezłą dyagnozę...

Za to przekupka, rezydująca z bułkami w sieni, była zupełnie innego zdania.

— Co mi asan będziesz gadał, pijany, pijany — mówi do szewca — niby to ludzie z pijaństwa nie umierają. Co wy wiecie, kiedyście sami mieli w czubku; ale ja co innego, com mu lekarstwo wlewała do gęby. Tak ci miał zaciśnięte zęby, że musiałam mu trzonkiem od łyżki wyważać, i zaraz po pierwszej łyżce już mu ulżyło... Nie ma co gadać! niech Bóg da zdrowie naszemu doktorowi; inny by wam z tego zrobił chorobę na dwa tygodnie, a on ci dał takie lekarstwo, że *od razu*, jakby ręką odjął...

(C. d. n.)

STUDYA ESTETYCZNE

przez

WOJCIECHA HR. DZIEDUSZYCKIEGO

(*Ciąg dalszy.*)

Gdy wejdziesz do sławnej sali paryskiej, w której tyle zawieszono arcydzieł, najpierwszy może zwróci na siebie uwagę ów niewielki portret. Nie każdemu się podoba — każdego zadziwi. Widzimy kobietę w naturalnej wielkości, po stan odmalowaną. Wygorsowana, jest w czarnej sukni, a zarzuciła na głowę i ramiona ciemno zieloną przezroczystą, dziwnie dobrze oddaną chustkę, z poza której wyglądają czarne bogate włosy, i blade śmiertelnie karnacye. Czoło niezmiernie wysokie także poczęści pokryte tą chustką. Czoło owo nie ma wcale zmarszczek, ale za to tak pokarbowane wypukłościami, że u mężczyzny nawet świadczyłoby o niepospolicie wytężonej myśli, a zupełnie odbiegło od greckiego ideału niewieściego czoła. Brwi poziome, proste, z popod których wychodzi niezwyczajnie przenikliwy, badawczy promień dużego, ale przymrużonego, jaskrawego, czarnego oka. Nos grecki ale bardzo cienki i nerwowy, usta, może trochę nadto wielkie, zeszły się w uśmiech tryumfalny, szczęśliwy i szyderczy, a dolna część twarzy, kwadratowa i trochę ciężka, znamionuje nieugiętą wolę. Szyja smukła i żylasta wyrasta z chudego może nawet gorsu. Prawica sparta o przejrzystą chustkę nadzwyczaj kształtna, a jednak może nadto wielka.

Twarz choć wcale nieidealna, dość ideału bliską, aby być piękną — ale dusza, co z niej wygląda, nadto dziwna, niedowierzająca, przenikliwa pewna siebie, nad wyraz rozumna. Wszystko zbadała ta młoda kobieta, o wszystkiem zwątpiła, straciła i dziecinną wiarę i młodzieńcze ideały, ale nie żałuje już za niemi, bo znalazła szczęście dziwne u kobiety. Filozoficzne abstrakcye, matematyczne ideały, i estetyczna wybredność nasyciły tę łakomą duszę... stworzyły może dla niej nową wiarę konsekwentną, jak katedra florentyńska — ale nie stworzyły w niej bynajmniej fanatyzmu. Ta postać natchniona, ale zimnem i nienamiętnem natchnieniem matematyki i logiki. To idea florentyński, wyższy nad gmin, wyższy nad tęsknotę i niezawisły od wpływu jakiejkolwiek wiary. Nie udawaj przed nią uczonego — bo cię wyśmieje, nie udawaj ascetę — bo ci nie uwierzy, nie podchlebiaj jej — bo ramionami ruszy — wystrzegaj się jej, a jeźli potrafisz bądź przy niej praktycznym, cnotliwym a jednak wesołym człowiekiem wielkiego świata — ale świata, w którym rozpustnik nie mniej śmiesznym od pedanta — i w którym, mówiąc niby o plotkach, mówią w istocie lekko o tem, co w Niemczech ciężko z katedr wykładają.

A dziwna technika dodaje czaru tej postaci. Światło z niej niby wychodzi. Części wklęsłe są wszędzie ciemniejsze, wypukłe jaśniejsze — ciemnie czarne prawie — jasne miejsca z lekka zielonawe. Ta głowa tak plastyczna, że z pewnością żyje — ma barwę może niemiłą dla oka, ale barwę, co ją zupełnie od tutejszości odrywa, co ją robi gatunkiem zjawienia. I jako postać sama sobie wystarcza, i nie potrzebuje zewnętrznego oświecenia, by na jaw wystąpić — podobnie jak dusza jej nie potrzebuje niczyjej pomocy. A i brak barwy czyni ją bardziej duchowną, jak o tem już od pięćdziesięciu lat przeszło wiedziano we Florencyi. Ta żywa, dziwna kobieta, jest rezultatem matematycznych sił w przestrzeni, tak prawdziwym i abstrakcyjnym, jak myśli, które chowa w wysokiem czole.

Portrety Leonarda są wynikiem rozwoju sztuki florentyńskiej, ale trzeba znać jego portrety, aby módz zrozumieć, jakim to dziwnym sposobem powstały owe niezwykłe obrazy religijnej lub fantastycznej treści, które malował dla pokojów możnych. Widzimy w nich ukochane przez Leonarda typy, a najczęściej Monę Lizę przeniesioną w świat zupełnie inny, w nieziemskie otoczenie. Chodziły po Florencyi jednostki dość piękne, a tak rozumne, że Leonardo mógł w nich mieć swoje upodobanie; ale to były nawet we Florencyi wyjątki, otoczone światem, z którym walczyć musiały, zanim się nad świat ów wzniosły. Otóż mistrz rad marzył o tem, że Mona Liza byłaby jeszcze doskonalszą, gdyby żyła w jakimś cudnym świecie, zamieszkałym przez nadzwyczaj małą ilość doskonałych nieśmiertelnych i niestarzejących się ludzi — zresztą podobnych do pięknych mędrców Toskany. Taki świat istniał w legendach chrześciańskich i mitach pogańskich. Mona Liza musiała się tedy przemieniać to w Madonę, to w świętą, to wreszcie w bóstwo jakieś greckie. Czasem stawała naga jako wzór dla swego kochanka — choć wszyscy się godzą, że była to kobieta nieskażonych obyczajów — ale na cóż ukrywać rzecz tak piękną i matematyczną, jak ciało ludzkie. Czasem przemieniał ją nawet mistrz w chłopca, w Dionyzosa greckiego, wieńczonego winem, uśmiechniętego w dziwnem weselu, mieszkającego wśród dzikich skał — nagiego zupełnie, o jaśniejących oczach, co nie znały troski — jak to widzimy w Luwrze w „długiej galeryi“. Czasem, jak w *palazzo Borghese* przemieniał ją jeszcze bardziej zuchwale w nagą Latonę igrającą z łabędziem. Otaczał jej głowę lokami, co się dziwnie plotły, uśmiech jej czynił słodszym, oczom nie nadawał wyrazu badawczego niedowierzania. Traciła przez to na charakterystyce, i wydawała się dziwną jako bogini, gdyż wreszcie nie miała ani rysów bogiń, ani bogiń cery. Ale Leonardo nie dbał o to, bo malował dla siebie.

W zupełnie fantastycznem otoczeniu widzimy ją w Luwrze. Z rozpuszczonym kędzierzawym włosem siadła w błękitnej pieczarze, w której powinno być ciemno, a w której niewiedzieć dla czego jest jasno. W głębi lśni się krajobraz, w którym dziwne, fantastyczne skały wyrastają z łąk i lasów. Skały sine jak kobalt, niebo błękitne, a trawa zieleni szmaragdowej. Wszystko płonie wewnętrznem światłem i nieziemską barwą. Tylko Mona Liza, w jaskrawych, metalicznych szatach udrapowanych klasycznie, blada jak zawsze pod lokami tu płowemi. I oko jej stało się spokojne, niebieskie, i uśmiechając się patrzy w dół na dwoje bardzo brzydkich, nagich dzieci, igrających wśród pieczary. Wypukłości na czole Mony, i na całem ciele dzieci wyglądają dziwnie na tym obrazie przezwanym „Madoną wśród skał.“ Ręka Mony Lizy wychodzi z obrazu, jako studyum perspektywiczne — i wskutek skrócenia wygląda jak szpon krogulca. A czasem chodziło o to, by ukochaną pokazać tryumfującą nad boleścią i śmiercią nawet. Jako święta Agata, jaśnieje w *galeria Borghese* w Rzymie. Blada jak zawsze, po grecku uczesana i udrapowana, ma na sobie klejnoty dziwnie udane i występujące z obrazu. Oczy jej i usta rozpromienione słodkiem, spokojnem, anielskiem, niezakłoconem nigdy szczęściem. Szata czerwona zakrywa jej łono, a dwie wycięte, ale wcale nie krwawe i wcale niezbolałe piersi, podobne do dwóch klejnotów, trzyma święta na dziwnie połyskującej srebrnej misie. W świecie stworzonym przez wyobraźnię nie mieli tyranowie władzy, bo męki nie bolały.

Leonardo marzył o takim świecie od pierwszej młodości. Obraz, który na niego uwagę współczesnych zwrócił, powstał wtedy, gdy jeszcze ideału swego przyszłego nie znał. Jestto głowa Meduzy, przechowana w *galeria degli Uffizii*. Głowa legła na srebrnej misie, ścięta mieczem Perseusza. Gadziny oplotły marmurowe czoło dziewicy i syczą. One jeszcze, i one jedne tu żywe. Tysiąc świateł metalicznych lśni w bogatych zielonych splotach. Oczka gadzin, to niby wschodnie klejnoty, a ich języki z ostrzonych rubinów. Tyle w nich światła, taka harmonia w ich liniach, że się zapomniało o ich śliskiej obrzydliwości. Ropucha szmaragdowa skoczyła na misę i krzyczy, a wszędzie pełno nagłych cieniów i świateł wychodzących z wnętrza istot, pochodzących z form samej natury. Meduzę obróciła była zazdrośna bogini Atene w dziwny potwór. Kazała jej mieć gadziny zamiast włosów i zabijać wzrokiem. Straszna musiała to być męka dla dziewicy, ale męka już skończona, i głowa martwa legła na misie. Martwa ona na prawdę, bo połyskujące zęby wyglądają z pod skostniałych ust. Ale rysy tu całkiem idealne. Błękitne oko spokojnie patrzy przed siebie, żaden kurcz nie skalał piękności, i ta głowa ścięta o włosach z gadzin, piękna spokojem i potęgą bogiń Fidyaszowych. Leonarda piękność i mądrość nie wtedy cudne, gdy jaśnieją pokojem i weselem wśród olimpijskiej ciszy. On chciał wynaleść i uprzytomnieć piękność doskonalszą, mającą początek w duchu, piękność, której żadna boleść i zniewaga nie skala i nie zamąci.

Mówiliśmy już, że czasy Leonarda nie były skore do monumentalnych przedsięwzięć; nie dziw tedy, że raz tylko miał Leonardo sposobność odmalować wielki obraz ścienny. Uczynił to na obstalunek mnichów, którzy jak zawsze tak i wtedy byli zwolennikami staroświeczczyzny, i hołdowali modzie zacofanej o dwadzieścia i pięć lat. Kazali tedy Leonardowi malować ścianę refektarza w klasztorze obok kościoła *Santa Maria delle Grazie* w Medyolanie, i choć obraz bardzo wiele z czasem ucierpiał, potomność mnichom wdzięczna za obstalunek, a wykonanie tego obrazu wskrzesiło na chwilę uspiony gust do wielkich kompozycyj.

Nie ma nic smutniejszego, i nic nie ma mniej ponętnego nad widok wilgotnego i źle oświeconego pokoju wśród koszar kawaleryi, w którym podłoga ceglana a ściany puste i brudne. Blady cień nieboszczyka obrazu zajmuje całą ścianę. Barwy tu spełzły, rysy postaci często uszkodzone, a postacie symetrycznie za stołem ustawione — przedstawiają oka poziomą linię głów.

Bacząc pilniej, rozpoznasz pośrodku Chrystusa, przyodzianego w jaskrawe klasyczne draperye czerwone i niebieskie. Ma on włos i brodę tradycyjnie ułożone głowę z lekka na stronę i na dół pochyloną. Rysy tu zupełnie tradycyjne, klasyczne, idealne, jakby na posągu greckim; oczy opuszczone smętnie, usta, przyobleczone spokojnym a lekkim wyrazem tęsknoty, rozwarte jakby w mowie. Piękna szyja wygląda z pomiędzy brody i włosów jasnopłowych, szata spada w idealnych fałdach na postać siedzącą i z grecka posągową. Obie ręce nieco przed Chrystusa wyciągnięte i złożone na stole. Obie ręce roz-

warte; prawa dłonią, z lekka podniesioną, do obrusa, lewą dłonią do widza zwrócona. Ręce tak trzyma ten, co jaką rzecz ważną wypowiada. Smutek niczem pięknych rysów nie zeszpecił, niczem pokoju nie zamącił, niczem majestatycznej potędze Boga—człowieka ujmy nie uczynił. Oczy spuszczone snać nie chcą wzrokiem wskazać zdrajcę.

Przed Chrystusem długi stół zastawiony, a po obu jego bokach po sześciu apostołów. Wszyscy w ten sposób ugrupowani, że wiążą się po trzech w grupy, z których znów po dwie w większą całość złączone. Chrystus sam jeden środek obrazu tworzy, odosobniony od uczniów. Po prawej jego ręce siedzi ręką tylko się jego tykający Jan Ewangelista, młodzieniec o twarzy idealnie i prawie po kobiecemu pięknej. Włos uczesał na wzór włosu Nazareńczyka, nie ma dotąd brody, a greckie ma ciało. Ręce na stół złożone załamał i głowę na prawo pochylił. Widać, że Chrystus rozpacz i zgrozę swemi słowy w jego wlał serce. Widać, że nie wie czy ma więcej nad tem boleć, że nauczyciel zdradzony, czy nad tem, że znalazł się zdrajca. I u niego usta tylko i postawa boleść wyrażają, i u niego oczy spuszczone. Ruch głowy Jana wytłómaczony tem, że jemu siwy Jędrzej coś do ucha szepce. Judasz siedzi obok Jana, ale Jędrzej przechylił głowę po za plecy Judaszowe. Stare brwi zmarszczył, nadął gniewem nozdrza orlego nosa, i ciska z oczu ogniem. Usta szepcąc nawet zacisnął, lewicę włożył na ramię Jana, a palcem wskazuje Pana. Prawa ręka z tamtej strony Judasza do pasu przyciśnięta, trzyma nóż, którym dopiero co jadło krajała. Jędrzej już podejrzywa i żyły mu z gniewu nabrzękły, boć to nie jego, ale Syna człowieczego gubi zdrajca, co siadł między nim a Janem. Judasza nos zbyt zagięty, broda silnie wystająca, ale twarz zresztą piękna. Maluje się na niej chciwość i bezczelność pełna siły, rozumu i woli. Włos jego czarny. Cały rzucił się w tył i prawicę wyciągnął naprzód jakby człowiek zdziwiony. Oczy utkwił w Chrystusa, jakby pytał, zkąd Chrystus o zdradzie wie? Dziwi się, podziwia, boi się może, ale nie zmieni złego przedsięwzięcia, bo żylastą dłonią ściska kieskę ze srebrnikami. On jeden rozumie, a zacisnął usta, by lepszego ducha nie wpuścić w siebie. Siadł wśród świętych, z głową najbardziej od Chrystusa oddaloną, z włosem krótkim a kędzierzawym, z kolcem w uchu, sam jeden, w bronzowej swej szacie, potępiony. To jedna grupa. (C. d. n.)

LISTY Z KRAKOWA.

(Dokończenie.)

Mówiąc o jednym z dobrych mych znajomych przyjaciółka ciotki odezwała się krótko, z przyciskiem.

— *To żadna partya!*

— Pod jakim względem?—odważyłem się na pytanie.

— Pod każdym, odparła impertynencko przyjaciółka ciotki. Raz, że nazywa się Fitkowski, a po drugie, że nic nie ma. Bo czyż można przyzwoitemu człowiekowi nazywać się Fitkowskim!?

— A jednak mamy dużo nazwisk w naszem mieście, które jeszcze śmieszniej brzmią...

— Bo to są imiona znane — i bogate firmy, przerwała gwałtownie przyjaciółka ciotki.

— Jestem pewny, że i nazwisko Fitkowskiego, gdyby miał parę kroć stotysięcy guldenów nader przyjemnie by brzmiało. Po salonach wymawianoby je z pewnym rodzajem cieniowania i zadowolenia. A jednak Fitkowski jest miłym i przystojnym młodzieńcem.

— Choćby był pięknym jak Apollo Belwederski, zawsze będzie tylko Fitkowskim.

Zdawało mi się, że córka przyjaciółki ciotki, która przed chwilą porzuciła mnie, przesyła mi spojrzenia, jak gdyby błagała o obronę i poparcie. Nie tracąc więc odwagi, dalej prowadzę obronę mego protegowanego.

— Fitkowski młody człowiek, pełen nadziei, zdolny, wykształcony i szlachetny...

— Wszystko to jeszcze nic dla zrobienia karjery, przerywała nieustannie przyjaciółka ciotki.

— Pracowity...

— Ej — cóż to znaczy bez protekcyi. A jakąż może mieć protekcyę Fitkowski, tem więcej, że *nie umie być jak potrzeba.* —Ostatnie wyrazy wymówione były ze znacznym przyciskiem.

— W każdym razie, rzekłem podnosząc głos, Fitkowski już dziś ma niezłą pozycyę — i nie ulega wątpliwości, że pójdzie dalej, gdyż jego karjera nie jest w ręku krakowskich mężów zaufania, lecz w wiedeńskiem ministeryum, a tam mniej troszkę odgrywa rolę protekcya jak u nas.

— Choćby i tak było — zawołała wpadając w gniew przyjaciółka ciotki, to zawsze Fitkowski jest *żadną partyą!!* Człowiek bez majątku...

— Ale go może mieć — przerwałem.

— Ale go nie ma, rozumiesz pan. A nuż choroba, lub śmierć?! Biorąc panienkę bez posagu, bo któraż majętna poszłaby za Fitkowskiego, gotuje jej troski, a po śmierci nędzę.

To powiedziawszy, przyjaciółka ciotki, jako nieprzyzwyczajona do dyskusyi, odwróciła się odemnie, a córka jej zbladła i spuściła oczy.

Od tej chwili towarzystwo w milczeniu oczekiwało na kawę. Zaledwo mamy szeptały do przyjaciółki mej ciotki, pewno jej winszując zwycięstwa, gdy córki nawet szeptać nie śmiały.

Po kawie przy której przyjaciółka ciotki mej zjadła trzy rogale z wielkim apetytem, towarzystwo rozeszło się, obdarzając mnie na pożegnanie lekceważącem kiwnięciem głowy.

Zostaliśmy sami, matka mej narzeczonej, narzeczona i ja.

— Ach, panie Józefie — rzekła do mnie najlepsza z matek, ale najsłabsza z kobiet. Tyle historyi, że aż mnie dreszcz przechodzi.

— Cóż takiego —przerwałem przestraszony.

— Po co te wykrzykiwania w cukierni, po co te manifestacye w księgarni — i...

— I cóż jeszcze więcej? pytam z uśmiechem.

— I, — mówi dalej mama, gdy panna wyszła do drugiego pokoju — i — jeżeli kiedy wypadkiem zdarzy się panu, bo przecież to nie jest nic złego...

— Proszę, szczerze i otwarcie—nalegałem.

— Być w zbyt dobrym humorze, po paru kieliszkach wina, to błagam pana, nie wychodź pan wtedy na ulicę.

W odpowiedź zacząłem się głośno śmiać. Na odgłos mego śmiechu weszła narzeczona.

— Śmiej się pan, śmiej—rzekła, robiąc płaczącą minkę, a mnie serce boli, gdy słyszę o panu takie historye i takie okropności.

Opowiedziałem moim paniom z uśmiechem i wesołością dzieje dwóch dni, zacząwszy od Reicha i Bossarda, spotkania się na rynku z jedną z domniemywanych przyjaciółek mych ciotek, a skończywszy na chęci kupna Buckle'a w księgarni.

— Wszystko to dobrze—odparła mi matka narzeczonej, pozwól sobie jednak pan powiedzieć, że po powrocie swym z zagranicy nie zwracasz pan uwagi na stosunki naszego miasta. Tutaj najlepiej żyć i przesuwać się niewidzianym między ludźmi — niczem i nigdy nie ściągać na siebie uwagi.

— Cóż to za okropna niewola — zawołałem oburzony, cóż to za demoralizacya człowieczeństwa i ludzi — żyć jak automat z kagańcem na ustach, z żelazną obręczą ściskającą czaszkę, bez właściwego sobie temperamentu, charakteru, bez swego ja, bez swobody opinii, przekonań, głosu i uśmiechu...

— Panie Józefie, nie unoś się tylko — przerwała mi mama, usiłując zatamować lawinę mej wymowy. Błagam cię, nie unoś się, zagranica cię zepsuła i rozzuchwaliła, myślisz że tu, jak tam, wszystko wolno...

— Ja sobie zupełnie nie życzę, aby gadano cokolwiek bądź o moim narzeczonym, dodała boleśnie córka.

— Choćby dobrze?—zapytałem.

— Nawet, odparła, bo zwykle z początku zaczynają mówić dobrze, aby potem zacząć mówić źle.

— Więc walczmy! rzekłem z miną bohatera.

— Nie zmienisz pan ludzi naszego miasta, — zdecydowała mama.

— A więc, nic mi już nie wolno!

— Ależ wszystko, odpowiedziały obie, tylko przy zamkniętych drzwiach.

— Bądź pan wesoły i dowcipny, mówiła matka, a nawet liberalny i postępowy, ale tylko z nami. Śmiej się choćby z twoich ciotek, tylko po cichu. Głośno mów sterotypowe komunały, kłaniaj się nisko możniejszym od siebie, obmawiaj głośno uboższych, ustępuj zawsze i wszędzie uznanym powagom i bigotkom — nadskakuj ciotkom, bo one wszystko mogą — a będzie ci życie płynęło cicho, spokojnie i wygodnie, będziesz wzrastał w powagę i przyjaźń ludzką.

— I wtedy dopiero zaczną o panu mówić *naprawdę* — dodała narzeczona, — lecz tylko i zawsze dobrze.

— Zobaczę—odrzekłem chłodno, pożegnałem się i wyszedłem.

Czy to skutkiem, że przywiązanie moje nie było tak silne, czy też z powodu mego temperamentu sangwinicznego, czy też, że charakter mój nie mógł znieść obłudy, a dusza zaparcia się siebie, a może z wrodzonego mi uporu i przeświadczenia — że godność człowieka objawia się przez jawne wyznawanie swych zasad, a prawość polega na zgodzie głoszonych zasad z postępkami; dość, że po długich debatach z sobą, odrzuciłem podaną mi radę przez matkę i córkę — i przez szacunek dla samego siebie, przez wzgląd na przyszłość własną i mego społeczeństwa, a nareszcie z obawy, abym kiedyś nie czuł odrazy do samego siebie, postanowiłem, jeżeli nie walczyć, to przynajmniej nie kryć się z memi przekonaniami i podług nich postępować.

Socyologia nauczyła mnie i wyrobiła nawet przeświadczenie, że wszelkie usiłowania do zmian gwałtownych społeczeństwa, nie tylko, że nie przynoszą upragnionego skutku, ale nawet gwałtownemi reformami można tylko zrządzić szkodę społeczeństwu, jako nieprzygotowanemu do zmian. Z drugiej strony, byłem również przeświadczony,

że zaprzedanie za jakąkolwiek bądź cenę własnych przekonań należy do czynników najwięcej demoralizujących człowieka i otaczających go ludzi. Nie miałem więc zamiaru reformować, lecz postanowiłem bronić się przed własnym upadkiem i w niczem nie przyczynić się do demoralizacyi rodzinnego miasta.

Wróciłem niedawno z za granicy — nie brakło mi więc materyału do rozmów, a w nich do wyjawiania uczciwie mych opinii, które opierały się na spokojnem trzeźwem i powolnem zastosowywaniu zdobyczy cywilizowanego świata do naszych potrzeb.

Byłem szczery i prostoduszny, a ciotki i ich przyjaciółki również szczerze pracowały nad zgotowaniem mi losu, godnego ich serc i temperamentu. Występowałem otwarcie i głośno, nie zwracając uwagi na koterye, powagi i przesądy, na uzurpowane przywileje wybranych, na ich protekcye i wpływy!.. Ciotki i ich przyjaciółki z przyjaciołmi działali „cicho, tajemniczo, w ukryciu, zawsze mądrze uderzając i na pewno zadając ciosy śmiertelne, do czego niewinni głupcy za narzędzia służyć im muszą“...

I stało się — po paru tygodniach czasu przyjmowano mnie w towarzystwach zimno — gdyby zimno! obojętnie — gdyby obojętnie!... W licznych zebraniach nie widziano mnie i nie znano. Ludzie, zkądinąd dobrzy i uczciwi, potajemnie ściskali mi dłoń — szeptając do ucha:

— Śmiało, odważnie, naprzód — nie daj się, wytrwaj... Wobec zaś ciekawych oczu, milkli i unikali mnie, gdym się do nich zbliżał.

Dla tego też nie rzadko zdarzyło mi się w małem kółku doznać najserdeczniejszego przyjęcia, gdy w licznem towarzystwie ci sami ludzie traktowali mnie chłodem, jeżeli nie zimną niegrzecznością.

I jeszcze parę tygodni upłynęło, a otrzymałem list od najszlachetniejszej, lecz zarazem najsłabszej z kobiet, a matki mej narzeczonej, w którym oprócz wielu wykrzykników i ubolewań było napisane:

„Nareszcie nie wiem sama, co mam o tem wszystkiem sądzić i *komu wierzyć*, a ludzie, wierzaj pan, nigdy bez podstawy nie oskarżają“.

„Zanim się kwestya wyjaśni, bądź pan tak dobry nie przychodzić do nas i unikać nas. Mój syn jest tak nerwowy, córka moja tyle cierpi nad tem, co się stało, a siostra, znasz ją pan... Zresztą ludzie nie przebaczają słabości, nie przebaczyliby więc i mojej...

„Ja biedna nad tem wszystkiem najwięcej ubolewam.“

Skończyło się — straciłem narzeczoną, za narzeczoną zamknęły się przedemną drzwi poważnych domów, a nareszcie jako podejrzany dostałem dymisyą.

Spokojny i obojętny czytelnik, nie znający naszego miasta, jest mocno przekonany, że w przytoczonym opisie nazbyt jaskrawo odmalowałem tutejsze stosunki; a jednak, gdyby się przypatrzył uważniej, poznał dokładnie i bezstronnie chciał sądzić — musiałby podzielić moje zdanie.

— Jakżeż wy tam możecie żyć, myśleć, pracować, pisać — zapyta niejeden.

Wszystko to można, ale po cichu, szczelnie zamykając się przed wzrokiem ludzkim. I ja, gdybym wyznawał swe zasady cicho, spokojnie, przy drzwiach zamkniętych, wśród grona przyjaciół, miałbym dziś żonę, jaki taki mająteczek, i dość tłustą synekurę. Nie potrafiłem tego i przepadłem!

Można się u nas po cichu bawić, śmiać, żartować, być dowcipnym do ucha, i głośno romansowym, byle tylko nie objawiać swego zdania, któreby trąciło niezależnością. To jest zakazane pod utratą czci, majątku i przyszłości.

Wszystko wolno, byle po cichu i w ukryciu. Oto dewiza naszego miasta.

Miasteczko nasze, czyli ludzie w niem, łagodni — a przedewszystkiem potulni, zawistni, i zazdrośni, często uczciwi, a nawet znośni. Wielu bardzo uczonych i dość przyzwoita liczba rozumnych nawet, na taki jak nasz partykularz! Jedno tylko — od lat stu, czyli od trzeciego pokolenia steroryzowani.

Garść ludzi różnych warstw społeczeństwa, tak z towarzystwa jak mieszczaństwa, a nawet z klasy urzędniczej, w imię wspólnego temperamentu, a który to temperament nazywa się melancholicznym, tak wybornie określonym przez Reicha i Bossarda, bezwiednie, lecz powodowana tylko wspólnym instynktem, podała sobie ręce i zaciężyła nad resztą ludności, terroryzując ją, przewodząc nad nią i gnębiąc rozlicznymi sposobami. A że jest dość liczną, zamożną i zasobną w środki, wszystko jej ulega i boi się.

Młode pokolenie, wychowywane w tej atmosferze, przywyka do niej i aklimatyzuje się tak, że nareszcie staje się ona jego koniecznością. Nie wyobraża sobie innego życia, a nawet nie umiałoby się obracać w innych stosunkach. Nie złe są bowiem owe stosunki, nie wymagają ani zbytniego myślenia rozumu, ani odwagi cywilnej: troszkę abnegacyi, pokory i poddaństwa.

Nieświadomi rzeczy, powtarzam, czytając te kartki łatwo mnie posądzić mogą o przesadę, złość i nienawiść. Dla zabezpieczenia się od podobnej potwarzy, a na poparcie moich zapatrywań, przytaczam jeden ustęp z *Listów o Galicyi*, pisanych przez autora, który jak świadczą te same jego listy, jest zakochany jeżeli nie w mieście, to przynajmniej w ludziach należących do *crème'y* towarzyskiej miasteczka. Autor nie badał przyczyn, za to w rezultatach spostrzeżeń zgadzamy się.

Naprzykład przytaczam wyjątek z szóstego listu o Galicyi strona 83cia i 84ta:

„Zastanawiając się nad naszem usposobieniem rodzinnem (mieszkańców Krakowa), nad naszą naturą i odwiecznemi jej ujemnemi stronami, dochodzi się nieodmiennie do przekonania, że najszkodliwszą, najzgubniejszą wadą naszą, wadą nad wadami, była i jest zazdrość*) Zazdrość też hula, jak „dusza bez kontusza“ po galicyjskiej arenie, i temu to przypisać należy głównie bezprzykładny zastój, bezprzykładną jałowość tutejszego społeczeństwa. Biada tutaj tym, którym się cokolwiek powiedzie! Wcześniej, czy później upaść muszą wraz z tem, co się powiodło pod razami rozszalałej zazdrości. Najsilniej nienawidzą tutaj rzeczy udanych i twórców, współczucie i sympatya otaczają rzeczy mierne, a nieudane. Udanym ogół i jednostki zaprzysięgają zwykle nienawiść, a pastwienie się nad niemi, zdaje się tu być rozkoszą godną bogów“.

„Tutaj wogóle umieją tylko wylewać łzy krokodyle nad niepowodzeniem, lub upadkiem, dla tego też najwięcej jest niepowodzeń i upadków, a tak mało rzeczy udanych. Paniczna ta nasza choroba zazdrości, nigdzie może nie objawia się tak brutalnie, jak obecnie tutaj, a oczywiście pierwszem jej następstwem we wszystkich stosunkach, brak uprzejmości, życzliwości i delikatności, które cechują, cywilizowane i wykwintne społeczeństwa.“

„Odstrasza to od Krakowa, mało tu ktobywa, a kto tylko może, lub nie jest związanym — ucieka albo przemyśliwa o wynoszeniu się ztąd. Miasto (Kraków) pozostawione samemu sobie, nie odradzając się nowemi żywiołami, upada społecznie i towarzysko“...

— A opozycya, gdzież ona jest — czyż nie daje znaku życia, czy nie walczy z podniesioną przyłbicą — czy nie spełnia swego obowiązku, bo jeżeli jeszcze przez jedno pokolenie panować będzie falanga temperamentów melancholicznych, przyjdzie zrozpaczyć o starym naszym grodzie.

Jest — jest opozycya, składająca się przeważnie właśnie z tych przybyszów, którzy radzi uciekają od nas, — z dwóch pism — niestety humorystycznych — i garstki młodzieży, która radaby walczyć, lecz dotąd nie wie jak, do rzeczy bierze się jeszcze po studencku, — nie ma między nią skupienia i karności — więc i o jakichkolwiek rezultatach nie może być mowy.

Ponieważ jednak o wszystkiem pisać nie można od razu — opozycyę zostawiamy w spokoju do przyszłego listu.

*) Jedna z głównych cech charakteru melancholicznego.

ZA NERONA

POEMAT
STANISŁAWA GRUDZIŃSKIEGO.

HENRYKOWI SIEMIRADZKIEMU
TWÓRCY „POCHODNI CHRZEŚCIAŃSTWA,“
jako wyraz swej czci
składa
Autor.

I.

Roma się bawi! — Codzień na arenie
Krew gladyatorów obficie się leje,
A motłoch krwawej przyklaskując scenie,
Sławi zwycięzcę — z konania się śmieje!
Drgające serce w krwawej paszczy zwierza
Wściekłą radością rozpłomienia tłumy —
Okrzyk tryumfu aż w niebo uderza:
Lud upojony nektarami dumy
Darzy zwycięzców wawrzynem zielonym...
— Niech żyje Roma! — biada zwyciężonym!
Roma się bawi! — szalona zabawa!
Żądza zgłodniała, jak rzeka wezbrana
Złamała wszystko — i krwią ją napawa!
Tłum patrycyuszów u boku tyrana
Świat cały depce — i kona z przesytu,
A pan spoziera okiem obojętnem
Na tłum śmiertelnem naznaczony piętnem,
Wydziedziczony z praw swoich do bytu,
Co go tak żegna, nim w grób się zagrzebie:
Idący na śmierć — pozdrawiają ciebie!
Lecz w tłumie rzymskim, co ginie tak marnie,
Serce człowieka gdzieś tam w piersi bije?
Serce, co czuje znoszone męczarnie,
Co jeszcze pragnie, kocha może — żyje!
Wszakże z tem sercem połączony może
Los słabych istot, którym zbraknie chleba!
Które targając sromoty obroże,
Będą wołały o pomstę do nieba!
Ha! ha! to śmieszne — któż o niebie prawi!
Wszak bóstwo rzymskie w Nerona osobie
Siedzi na tronie — lud go rzymski sławi —
I nie zna innych! w zapomnianym grobie
Śpią gdzieś postrachy przesądnej przeszłości!
A serca ludzkie? serca? — to zabawne.
Wśród rumowiska niegrzebanych kości
Legły na wieki urojenia dawne
Jednostek ludzkich, że one coś znaczą!
Życie ich — niczem! — a los ich — rozpaczą! —

Gdzie lasy płoną — któż zważa na kwiatek,
Który uwiędnie od pożaru spieki?
Osieroconych kędy tłumy matek,
Gdzie głodne tłumy, dzieci bez opieki,
Gdzie serc zdeptanych leżą całe stosy —
Któżby się troszczył o jednostki losy?
Patrzcie — to matki, co swoje dziewczęta
Pieszczą jak cacko, pilnują jak kwiatka,
Patrzcie — zaledwo na wpół rozwinięta,
Jak róża w pączku, już ją czuła matka
Wiedzie na jarmark, dumą zaślepiona,
Że może będzie w objęciach Nerona
Lube jej dziecię... Gdy ją to ominie,
Gdy pan ją uzna nadto ładną, świeżą,
Patrycyusz jaki mile na nią skinie,
Spojrzenia starców młode dziewczę zmierzą...
I za przebyte matczyne boleści,
Ktoś na wyżynach jej córkę umieści.
Bo nie masz rzeczy, której Rzym potężny
Nie mógłby dostać za swoje pieniądze!
Potworna próżność i najdziksze żądze —
Wszystko się łowi na ten lep pieniężny!
Kąpać się w złocie — i umierać z głodu,
Konać z przesytu — i nie zaznać chleba —
To rzecz powszednia wśród Romula grodu!
Jednego tylko długo szukać trzeba...
Jednego tylko nie da bożek złoty;
Godności ludzkiej i — prastarej cnoty!
O! Roma cierpi na straszną chorobę!
Rak upodlenia gnieździ się w jej łonie,
I cnota rzymska, jak niegdyś Niobe
W morzu boleści nurza się i tonie:
Dzieci jej giną w otchłaniach rozpusty,
Pogasły wszystkie domowe ogniska —
Ruina straszna, zasłużona — bliska,
I grób okropny i jak przepaść pusty!
To też co tylko miało cześć i czoło,
Co się nie zbyło natury człowieka —
Uczuło zgubę — i krwawa powieka
Rozpacznie, dziko strzeliła w około,
I usta spiekłe, gorączką spalone,
I gardła wyschłe spragnione ochłody —
Wołały w niebo ciche, roziskrzone:
Ratunku! wody!!
Od Galilei jakiś głos się szerzy,
Płynąc do duszy trawionej boleścią,
Od Galilei z jakąś dziwną wieścią
Przychodzą ludzie... Jakiś ród pasterzy...
Nie mają broni — a jednakże zbrojni —
Wieczna pogoda czoło ich ocienia —
Wiecznie łagodni i wiecznie spokojni —
Jak ożywione posągi z kamienia!
Duszy ich stałość — niezłomna jak głazy,
A w oku tkliwość białego gołębia!
Już ich dotknęły Nerona rozkazy —
Nic ich nie łamie i nic nie oziębia!
„Przychodźcie do mnie wszyscy, co pragniecie,
Ja was ochłodzę!“ — woła głos proroka...
Mówi o jakimś zagrobowym świecie,
O wierze jakiejś silnej jak opoka...
A i ludzie, co te słowa głoszą
Idą na męki z uśmiechem, z rozkoszą!
Jakby cudowna i niezłomna siła
Ogień wytrwania w ich piersiach żywiła.
Nie! to są czary! ten lud nieznajomy
Kryć musi w sobie zamysły zbrodnicze!
Chcą podnieść motłoch przeciw władzy Romy —
Więc sławią równość i walki słodycze!
Nędzni szalbierze! — jak robactwo liche
Zgniecie ich plemię wielka stopa prawa!
A na ich opór i na skrytą pychę —
Rózgi liktorów — i pochodnia krwawa!

II

Płoną pochodnie w ogrodzie Nerona —
Nowa zabawa ściąga widzów krocie!
Pomysł wspaniały! — scena rozjaśniona
Odblaskiem piekła! dwór wspaniały w złocie,
W kwiatach, w purpurze — cały w blaskach tonie,
A przed nim szereg płonących pochodni:
Każda niezwykła, bo drgająca, żywa,
Ludzkim się głosem z płomieni odzywa,
Zadawalniając tych, co wrażeń głodni.
Pomysł przepyszny! uciecha niebywała!
Sen się nie ima ociężałych powiek,
Gdy oko bawi płomieni kaskada,
I myśl rozważa, że to płonie — człowiek!
Już się cyrkowe znudziły igrzyska —
I krwi już dosyć! — tu sensacya nowa —
Tu wpośród ognia siwa starca głowa,
Tam twarz niewieścia pośród dymu błyska;
Któżby przypuszczał, że to nędzne plemię,
Galilejczycy — garstka gminu licha,
Zabawi pana, co z przesytu drzemie,
I patrycyusza, co z nudy usycha.
Zdala od panów, co wszędzie najpierwsi —
I tu najbliżej patrzyli na męki,
I mogli słyszeć przytłumione jęki,
Modły płynące z konających piersi. —
Zdala od panów — widoku łakomy
Cisnął się motłoch — wielki motłoch Romy!
Twarze wybladłe, roziskrzone oczy,
W których się dzikość z rozpaczą jednoczy, —
Patrzyły chciwie w kolumny z płomienia,
Dziwiąc się blaskom nieznanego święta...
I pięść niejedna wściekle zaciśnięta,
Pod wpływem chwili, co zamiary zmienia,
Wzniosła się w górę, i pierś bólem rwana
Wezbrała nagle wtórząc dzikim krzykom:
Żyj nam Cezarze! — śmierć Galilejczykom!
Codzień widziano, jak nieszczęsne plemię
Krwią swą męczeńską użyzniało ziemię —
Krzyż, miecz lub ogień, lub koła tortury
Galilejczyków spotykały co dnia —
I lud zapłonął już sam jak pochodnia
Krwi żądzą wściekłą! — i czekał ponury
Kiedy się nowa pojawi ofiara
Ognia i miecza i gniewu Cezara.
Był cichy wieczór — tłum szemrał w ulicy,
Bo wieść po mieście obiegała chyża,
Że Piotr przybitym ma zostać do krzyża —
A Piotra wielce czczą Galilejczycy.
Raz go czarami wykradli z więzienia —
Dziś już od śmierci nie zbawią go czary!
Ulica w morze ruchome się zmienia —
Lud ją zalewa, czekając ofiary.
W tłumie stanęła i młoda dziewczyna,
Na którą wszystkie zwracały się oczy.
Rok może ledwo szesnasty zaczyna —
A dziwną krasą uderza i mroczy.
Jej oko — zda się z lodu i z płomienia,
Włos kruczy, bujny, jej czoło ocienia,
Białe jak marmur! — Na ust jej karminie
Uśmiech niewinny swobodnie się zwija:
Motyl, co z rosy słodycze wypija!
A pierś pod jasną przepaską przejrzystą
Jak fala morska wznosi się i spada...
Stała, strzelając źrenicą ognistą,
Jak nowa Wenus — jak leśna Dryada.
I szmer podziwu rozchodził się w kole, —
Dziewczę bo dziwnym jaśniało urokiem!
Znamię dziewictwa nosiło na czole
I dziwny urok w wejrzeniu głębokiem...
Tak czasem w pośród gnijących moczarów
Lilia przeczysta rozkwita w ustroni —
Tak czasem w pośród zniszczenia pożarów
Gniazdo gołębie Opatrzność ochroni!
W takiem cię gnieździe, Wirginio, chowano,
Gdyś jeszcze czysta! — lecz — strzeż się dziewico!
Krwiożercze sępy gołąbkę pochwycą,
Wicher połamie lilijkę świetlaną!
Twe oczy płoną gorączką bezwiedną...
Pierś twa wre żądzą nieznaną ci jeszcze,
Nerwy rozkoszne wstrząsają ci dreszcze —
Pomnij, że mdleją lilije i bledną
W skwarnych promieniach południa...
Tłum nagle,
Jak gdy wiatr nowy uderzy na żagle
Okrętu — zawrzał, jak morze wzburzone,
I wszystkie oczy zwróciły się w stronę,
Gdzie orszak straży, wiodąc Apostoła
Z mamertyńskiego wychodził więzienia.
Szedł starzec w więzach i patrzył dokoła
Wzrokiem, co wrogów w przyjaciół zamienia.
Na razie mnóstwo podniosło się pięści —
Jakby lud chciał go rozerwać na części!
Lecz wkrótce zmilkły obelgi i krzyki,
Gdy siwy starzec na motłoch ten dziki
Wzrok swój obrócił. — Ta postać sędziwa,
Broda jak mleko, co na pierś mu spływa,
Włos, co tak szronem ubielił mu skronie,
Że był jak gdyby w promiennej koronie —
Wszystko wpływ miało cudowny! Tłum cały
Zamilkł i stanął, jakby osłupiały...
I cicho w koło, że słychać lot ptaka!
Niekiedy brzęknie ogniwo łańcucha,
Czasem rubaszne szyderstwo żołdaka,
Albo przekleństwo wśród ciszy wybucha.
Wirginia drżała i zbladła jak chusta...
Krew jej znać z twarzy do serca pobiegła,
Bo drżała szata, co serca jej strzegła
I dziwnie drgały różowe jej usta...
Starzec przypomniał jej ojca... niestety!
Parki przecięły mu nitkę żywota,
Lecz go pamięta, pamięta sierota
To jasne czoło, tę postać atlety.
Oczy, przez które patrzyła mu dusza,
Rozum Cezara, męztwo Emiliusza
I cnoty Grachów łącząc w sobie razem, —
Dla niej ten starzec był ojca obrazem.
Lecz miał coś jeszcze — jakąś siłę świętą,
Co ją ku niemu władzą nieugiętą
Rwała bezwiednie. Ona — wychowana
Przez ojca swego w starożytnej cnocie,
Radaby teraz upaść na kolana
Przed tym, co czoło stawić śmiał sromocie
I dzikim gwałtom. W tego starca twarzy
Jakaś się wielkość niepojęta żarzy!
Jego spojrzenie słodkie a potężne,
Pogarda śmierci, męki i mogiły,
Ten spokój dziwny, to wytrwanie mężne,
Tyle przedziwnej miało w sobie siły,
Że młode dziewczę strwożone jak dziecię,
Patrzyło w starca oczami takiemi,
Jakby on myśl jej oderwał od ziemi
I gdzieś zawiesił w zamogilnym świecie, —
Jakby za jednym ruchem jego ręki,
Chciała iść za nim, na śmierć i na męki!
Starzec w kajdanach był już niedaleko,
Wtem oczy jego padły na stojącą,
Wpatrzoną w niego, wzruszoną i drżącą, —
I łzę serdeczną dojrzał pod powieką.
Więc podniósł rękę i rzekł: — Ocalona!
I poszedł dalej, — a z nim ludu fala
Dalej płynęła. I poszedł, — a ona
Stała na miejscu bez myśli, pamięci,
I czuła tylko, że on się oddala...
I czuła tylko, że ją wbrew jej chęci
Porwała z tłumu jakaś ręka wstrętna.
W głowie jej zamęt!... przyspieszone tętna
Biły jak młotem w skronie marmurowe —
Płomień nieznany ogarniał jej głowę,
I z cichym jękiem jeden wyraz z łona
Wciąż się wyrywał, — wyraz: ocalona!

(Dok. nast.)

HEKTOR SERVADAC*)

PRZYGODY W PODRÓŻY

PO ŚWIATACH SŁONECZNYCH

przez

JULIUSZA VERNE'A.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

ROZDZIAŁ I.

Hrabia: „Oto moja karta.“ — kapitan: „Oto moja.“

„ – Nie, kapitanie, nie mam usposobienia ustąpić panu miejsca!

— Ubolewam nad tem, panie hrabio, ale usposobienie pana nie zmieni mojego.

— Czy tak?

— Tak.

— Muszę jednak zrobić panu uwagę, że pod względem daty jestem niezaprzeczenie starszy!

— A ja odpowiem, że w podobnej materyi starszeństwo nie może nadawać żadnego prawa.

— Potrafię zmusić pana do ustąpienia mi, panie kapitanie.

— Nie zdaje mi się, panie hrabio.

— Sądzę, że szpada...

*) Dzieło uwieńczone przez Akademię nauk.

— Ani nawet pistolet...

— Oto moja karta!

— Oto moja!“

Po tych słowach, które sypały się jak ciosy przy fechtunku, dwie karty wizytowe zostały wymienione między dwoma przeciwnikami.

— Na jednej było wypisane:

HEKTOR SERVADAC.
kapitan sztabu głównego.
Mostaganem.

Na drugiej:

HRABIA WASILI TIMASZEW.
Na pokładzie galioty *Dobryna.*

W chwili rozstawania się zapytał hrabia:

„— Gdzie moi świadkowie znajdą świadków pana?

— Dziś o godzinie drugiej, jeżeli pan życzy sobie, odrzekł Hektor Servadac, w sztabie głównym.

— W Mostaganem?

— W Mostaganem.“

To wyrzekłszy, kapitan Servadac i hrabia Timaszew, grzecznie się sobie ukłonili.

Ale w chwili gdy mieli już rozstać się, hrabia zrobił jeszcze jednę uwagę.

— Kapitanie, powiedział, sądzę że wypada zachować w tajemnicy prawdziwą przyczynę naszego pojedynku.

— I ja jestem tego zdania, odrzekł kapitan.

— Żadne nazwisko nie będzie wymienione!

— Żadne.

— W takim razie powód?

— Powód. Spór muzyczny, jeżeli pan chcesz.

— Doskonale, odrzekł hrabia. Ja trzymałem za Wagnerem — co w samej rzeczy leży w mojem przekonaniu.

— A ja za Rossinim — znowu leży w mojem, odrzekł uśmiechając się kapitan Servadac.

Potem hrabia i oficer sztabu głównego, raz jeszcze ukłoniwszy się sobie, rozeszli się ostatecznie.

Ta scena wyzwania odbyła się koło południa, na krańcu małego przylądka algierskiego wybrzeża między Tenez a Mostaganem, w odległości około trzech kilometrów od ujścia Chelifu. Przylądek ten wznosi się nad wodą na jakie dwadzieścia metrów, a błękitne wody morza Śródziemnego omywają jego stopy i skały nadbrzeżne, poczerwieniałe od niedokwasu żelaza. Było to 31 grudnia. Słońce, zwykle ukośnemi swemi promieniami złocące wszystkie wyniosłości wybrzeża, w tej chwili osłonięte było gęstą zasłoną chmur. Oprócz tego mgła zalegała morze i ląd. Mgła ta, z niewyjaśnionych powodów osłaniająca kulę ziemską od dwóch przeszło miesięcy, utrudniała komunikacyę między rozmaitemi miejscowościami. Ale na to nie było rady.

Hrabia Wasili Timaszew, rozstawszy się z oficerem sztabu głównego, poszedł ku łodzi o czterech wioślarzach, czekającej na niego w małej zatoce przy brzegu. Jak tylko usiadł w niej, lekki statek odbił od brzegu, zmierzając ku galiocie, która ze zwiniętymi żaglami czekała w odległości kilku węzłów.

Co do kapitana Servadac, ten skinieniem przywołał żołnierza, stojącego o dwadzieścia kroków. Żołnierz, trzymający pysznego arabskiego rumaka, przybliżył się, nie wyrzekłszy ani słowa. Kapitan Servadac zręcznie wskoczył na siodło i zwrócił się ku Mostaganem, wraz z ordynansem, jadącym za nim na koniu nie mniej bystrym.

Było pół do pierwszej, gdy dwaj jezdcy przejechali Chelif po moście niedawno zbudowanym. Uderzyło trzy kwandranse na drugą w chwili, gdy konie ich, białą pianą pokryte, wpadły w bramę Mascara, jedną z pięciu wejść do opasanego murem miasta.

W owym roku Mostaganem liczył około piętnastu tysięcy mieszkańców, w tej liczbie trzy tysiące Francuzów. Zawsze była to jeszcze stolica wojskowej poddywizyi. Wyrabiały się tam jeszcze smaczne ciasta, cenne tkaniny, wyszywane płachty i przedmioty z wyciskanej skóry. Ztamtąd wywoziło się do Francyi zboże, bawełna, wełna, bydło, figi, rodzynki. Ale w owej epoce napróżno szukałby kto śladów dawnej przystani, w której niegdyś statki nie mogły utrzymać się przy wietrze zachodnim, lub północno-zachodnim. Mostaganem posiadał obecnie port dobrze osłonięty, pozwalający korzystać ze wszystkich bogatych produktów Miny i Chelifu górnego.

Dzięki właśnie owemu bezpiecznemu schronieniu galiota, *Dobryna* zamierzyła przezimować w tem miejscu, gdzie brzegi same nie przedstawiają żadnej osłony. Tam też od dwóch miesięcy widzieć można było powiewającą jej banderę, a na wielkim maszcie chorągiewkę francuskiego yacht-klubu z literami M. C. W. T.

Jak tylko wjechali w obręb miasta, kapitan Servadac zwrócił ku dzielnicy wojskowej Matmore. Tam wkrótce spotkał batalionowego dowódcę 2go pułku strzelców i kapitana 8go pułku artyleryi, — dwóch kolegów, na których mógł liczyć.

Oficerowie ci z powagą wysłuchali żądania Hektora Servadac, by służyć mu za sekundantów w przyszłej rozprawie, ale nie mogli nie uśmiechnąć się lekko, gdy przytoczył im jako powód spotkania prosty spór muzykalny z hrabią Timaszewem.

— Może to da się ułożyć? zauważył oficer od strzelców.

— Nie trzeba nawet próbować, odrzekł Hektor Servadac.

— Jakie niewinne ustępstwa... dorzucił kapitan artyleryi.

— Żadne ustępstwo nie jest możebnem między Wagnerem a Rossinim, odpowiedział z powagą oficer głównego sztabu. Albo jeden, albo drugi. Zresztą Rossini jest obrażony w tej sprawie. Ten szalony Wagner popisał o nim niedorzeczności; chcę pomścić się za Rossiniego.

— Zresztą, rzekł oficer od strzelców, pchnięcie szpadą nie zawsze bywa śmiertelne.

— Zwłaszcza jeżeli kto jest tak mocno zdecydowany jak ja, do nie otrzymania go, odrzekł kapitan Servadac.

Po tej odpowiedzi nie pozostawało dwom oficerom jak tylko udać się do sztabu głównego, gdzie punkt o drugiej mieli spotkać świadków hrabiego.

Niech nam tu wolno będzie dodać, że ani dowódca strzelców, ani kapitan artyleryi wcale nie byli wprowadzeni w błąd słowami swego kolegi jaki był istotny powód tego, że uciekał się on do broni? Być może, iż domyślali się, ale nie mogli nic lepszego zrobić, jak tylko przyjąć pretekst, który podobało się kapitanowi Servadac podać im.

We dwie godziny potem powrócili, porozumiawszy się z sekundantami hrabiego i ułożywszy warunki pojedynku. Hrabia Timaszew zgodził się na szpady.

Dwaj przeciwnicy mieli spotkać się nazajutrz, 1go stycznia, o godzinie dziewiątej rano na wybrzeżu o trzy kilometry od ujścia Chelifu.

— A więc do jutra, godzina dziewiąta! rzekł oficer od strzelców.

— Najpunktualniej! odpowiedział Hektor Servadac.

Następnie dwaj oficerowie szczerze uścisnęli rękę przyjaciela i powrócili do kawiarni *Zulma* grać w pikietę.

Kapitan Servadac bezzwłocznie opuścił miasto.

Od kilkunastu dni Hektor Servadac nie mieszkał już w lokalu swoim przy Placu Broni. Mając poleconą sobie robotę topograficzną, osiedlił się w gurbi na wybrzeżu Mostaganem, w odległości ośmiu kilometrów od Chelifu, a jedynym jego towarzyszem był ordynans. Nie bardzo to było wesoło i kto inny na miejscu kapitana głównego sztabu, poczytałby wygnanie swoje na to niemiłe stanowisko za pokutę.

Poszedł tedy drogą ku gurbi, dobierając rymy i usiłując dopasować wyrazy jedne do drugich w formie nieco zastarzałej tak zwanego ronda. Owo zamierzone rondo — niema co ukrywać — było wystosowane do pewnej młodej wdowy, którą miał nadzieję poślubić; starał się zaś dowieść w niem, że kto ma szczęście kochania osoby tak zasługującej na wszelki szacunek, ten powinien kochać „najprościej w świecie.“ Zresztą czy aforyzm ten był prawdziwy, czy nie, to najmniej obchodziło kapitana Servadac, który rymował poniekąd byle rymować.

— Tak, tak! pomrukiwał, podczas gdy ordynans kłusował w milczeniu obok niego, rondo, dobrze obmyślane, zawsze sprawia efekt! Na algierskiem wybrzeżu ronda są rzadkością; trzeba więc spodziewać się, że moje będzie najlepiej przyjęte!

I poeta — kapitan tak zaczął:

Jeśli się prawdziwie kocha,
To jak najprościej...

Tak jest! najprościej, to jest uczciwie i w widokach małżeństwa, to pewnik!... Do licha! to nie rymuje! Niedogodne to rymy na „ocha.“ Dziwny miałem pomysł wstawiania ich do rondu! Hej Ben-Zuf!

Tak się nazywał ordynans kapitana

— Jestem panie kapitanie, odrzekł Ben-Zuf.

— Czyś pisał kiedy wiersze?

— Nie, panie kapitanie, ale widziałem jak się to robi.

— Któż to robił?

— Asystent w budzie kobiety jasnowidzącej, pewnego wieczora podczas zabawy na Montmartre.

— I zapamiętałeś te wiersze asystenta?

— A oto one panie kapitanie:

Wejdźcie! tu uroku szczyt!
A wyjdziecie zachwyceni;
Poznacie miłości spryt
Która ziemię w raj zamieni!

— Do licha! ależ to szkaradne, te twoje wiersze!

— Bo nie obwinięte dokoła cukierka, panie kapitanie! Gdyby nie to, byłyby warte tyle co każde inne.

Milcz, Ben-Zuf! zawołał Hektor Servadac. Milcz! mam nakoniec trzeci i czwarty rym!

Jeśli się poprawdzie kocha,
To jak najprościej. .
Przysięgom ufaj trocha,
A bardzo miłości.

Ale wszystkie poetyczne usiłowania kapitana Servadac nie mogły doprowadzić go dalej, i gdy o godzinie szóstej powrócił do gurbi, miał tylko ten czterowiersz gotowy.

ROZDZIAŁ II.

W którym podaje się fizyczna i moralna fotografia kapitana Servadac i jego ordynansa Ben-Zuf.

Owego roku i pod tą datą, można było czytać w spisach stanu służby ministerstwa wojny: „Servadac (Hektor) urodzony 19 lipca 18.. r. w Saint-Trélody, w kantonie i okręgu Lespare w departamencie Girondy.

Majątek: Tysiąc dwieście franków renty.

Czas trwania służby: 14 lat, 3 miesiące, 5 dni.

Szczegóły służby i kampanii: Szkoła St. Cyr. 2 lata. Szkoła aplikacyi: 2 lata. W pułku 87 liniowym: 2 lata. W pułku 3im strzelców: 2 lata. Algier 7 lat. Kampania w Sudanie. Kampania w Japonii.

Stanowisko: kapitan sztabu głównego w Mostaganem.

Dekoracye: kawaler legii honorowej od dnia 13 marca 18.. r.

Hektor Servadac miał trzydzieści lat. Sierota, bez rodziny, prawie bez majątku, nie żądny sławy, ani pieniędzy, cokolwiek szalona pałka, pełen zdrowego naturalnego rozsądku, zawsze gotów do ataku i obrony, serca szlachetnego, odwagi wypróbowanej, widocznie protegowany przez bóstwo bitew, któremu nie szczędził kłopotów, nie uparty jak na dziecko, które w ciągu dwudziestu miesięcy karmiła dorodna wieśniaczka z Medoc, prawdziwy potomek tych bohaterów, którzy kwitnęli w czasach rycerskich — takim był pod względem moralnym kapitan Servadac, jeden z tych miłych ludzi, których natura zdaje się przeznaczać do rzeczy nadzwyczajnych i których opiekunkami w kolebce jeszcze były boginie przygód i powodzenia.

Pod względem fizycznym Hektor Servadac był bardzo miłym oficerem: pięć stóp sześć cali, wysmukły, zgrabny, włosy czarne kędzierzawe z natury, wąs pięknie podkręcony, oczy szafirowe, spojrzenie otwarte, słowem stworzony na to by się podobać i można powiedzieć podobający się, chociaż nie mający takiej, miny by się tego domyślał.

Przyznać trzeba, że kapitan Servadac — co zresztą sam on chętnie przyznawał — nie był nad miarę uczonym. „My nie świętujemy“ zwykli mówić oficerowie artyleryi, chcąc tem wyrazić, że nie narzekają nigdy na robotę. Hektor Servadac chętnie „świętował“ będąc z natury o tyle próżniakiem, o ile lichym poetą; ale przy łatwości obejmowania wszystkiego i przyswajania sobie, zdołał wyjść ze szkoły z dobrym stopniem i wstąpić do głównego sztabu. Zresztą dobrze rysował i doskonale jeździł konno. Stan służby jego wskazywał, że kilkakrotnie był wymieniany w rozkazie dziennym i z wszelką słusznością.

Przytaczano o nim rys następny:

Pewnego dnia prowadził przykopem kompanię strzelców pieszych. W pewnem miejscu grzbiet wału ochronnego, podziurawiony pociskami, osunął się i niemiał już dostatecznej wysokości dla osłaniania żołnierzy od świszczących granatów. Ci zawahali się. Natenczas kapitan Servadac wszedł na wał, potem położywszy się w wyłomie, który ciało jego całkiem zapełniało, powiedział:

— Teraz przechodźcie.

I kompania przeszła wśród gradu kul, z których żadna niedosięgła oficera sztabu głównego.

Od czasu wyjścia ze szkoły aplikacyjnej, z wyjątkiem dwóch kampanii (Sudan i Japonia), Hektor Servadac ciągle był przykomenderowany w Algierze. W obecnej chwili pełnił obowiązki oficera sztabu głównego w poddywizyi Mostaganem. Mając sobie specyalnie powierzone roboty topograficzne w miejscowości między Tenez a ujściem Chelifu, mieszkał w gurbi, zaledwie go osłaniającej. Ale nie był człowiekiem, któregoby to niepokoiło. Lubił żyć na otwartem powietrzu z całym zapasem swobody, jaką tylko oficer posiadać może. To krocząc piechotą po piaskach nadbrzeżnych, to konno przebiegając miejscowość, nie przyspieszał on nad miarę pracy, którą mu powierzono.

Życie takie, na pół niezależne, podobało się mu. Zresztą zajęcia jego nie pochłaniały mu do takiego stopnia czasu, by dwa, trzy razy na tydzień nie wsiadł na kolej żelazną i nie figurował czy to na przyjęciu u generała w Oranie, czy na zabawach u gubernatora w Algierze.

Podczas jednej właśnie z takich zabaw ukazała mu się pani L..., dla której przeznaczone było owo sławne rondo, którego tylko pierwsze cztery wiersze zrodziły się. Była to wdowa po pułkowniku, kobieta młoda, bardzo piękna, nader skromna, nawet nieco wyniosła, nie zwracająca, albo nie chcąca zwracać uwagi na nadskakiwania, których była przedmiotem. To też kapitan Servadac nie ośmielał się jeszcze oświadczać. Wiedział że ma rywalów, a między innymi, jak widzieliśmy, hrabiego Timaszewa. Ta to właśnie rywalizacya podała w rękę broń obu przeciwnikom, gdy tymczasem wdowa bynajmniej tego nie podejrzywała. Zresztą, jak wiadomo, nazwisko jej, przez wszystkich szanowane, nie było nawet wymienione.

Z kapitanem Hektorem Servadac mieszkał w gurbi ordynans jego Ben-Zuf.

Ten Ben-Zuf duszą i ciałem oddany był oficerowi, którego miał honor „czyścić“. Między obowiązkami adjutanta generał-gubernatora Algieru a ordynansa kapitana Servadac Ben-Zuf nie wahałby się ani chwili. Ale jeżeli nie miał żadnej ambicyi osobistej w tem, co go samego dotyczyło, inaczej rzecz się miała z jego oficerem i co rana rozpatrywał, czy w nocy nie wyrosło cokolwiek szpinaku na lewem ramieniu munduru kapitana sztabu głównego. *)

Owo nazwisko Ben-Zuf pozwoliłoby przypuszczać, że dzielny żołnierz był algierskim krajowcem. Bynajmniej. Było to tylko przezwisko. A teraz, dlaczego tego ordynansa nazywano Zuf, kiedy miał imię Wawrzyniec? dlaczego Ben, kiedy był z Paryża, a nawet z Montmatre? Jestto jedna z tych anomalii, których najuczeńsi etymologowie wyjaśnić nie zdołają.

Owóż Ben-Zuf nie tylko był z Montmartre, ale i urodził się na wzgórzu tego nazwiska, ujrzawszy światło dzienne między wieżą Solferino a młynem Galette. Owóż kto ma szczęście urodzić się w warunkach tak wyjątkowych, ten naturalnie uczuwa dla swego wzgórza rodzinnego uwielbienie bez zastrzeżeń i nie widzi nic wspanialszego pod słońcem. To też w oczach ordynansa jedno tylko Montmartre było górą na seryo w całym świecie, a dzielnicę tego nazwiska poczytywał on za skład wszystkich cudów kuli ziemskiej. Ben-Zuf podróżował. Powiadał on, że nie widział nigdy w żadnym kraju góry takiej jak Montmartre; widział może większe, ale nie zawodnie mniej urozmaicone. Bo czyż w samej rzeczy niema Montmartre kościoła, który wart tyle co katedra w Burgos, kamieniołomów, nie ustępujących bynajmniej kamieniołomom Penteliku, wodozbioru, którego pozazdrościłoby morze Śródziemne, młyna, który nie poprzestając na mieleniu mąki pospolitej, wyrabia jeszcze sławne placki, wieży Solferino, trzymającej się prościej, aniżeli wieża w Pizie, szczątków lasu, który był najdoskonalej dziewiczym przed inwazyą Celtów, i nakoniec góry, prawdziwej góry, której tylko zazdrośnicy ośmielili się nadać upokarzającą nazwę „pagórka?“ Prędzej porąbanoby Ben-Zufa w kawałki, aniżeliby zniewolono do wyznania, że górą ta nie miała pięciu tysięcy metrów wysokości.

Gdzież można spotkać na całym świecie tyle cudów, zebranych w jednym punkcie?

— Nigdzie! odpowiadał Ben-Zuf każdemu, kto usiłował utrzymywać, że zdanie jego było trochę przesadne.

Zresztą była to mania niewinna! W każdym razie Ben-Zuf miał jedno tylko życzenie: powrócić na Montmartre do swego wzgórza i zakończyć żywot tam gdzie zaczął — rozumie się ze swoim kapitanem. To też Hektor Servadac miał ciągle uszy nabite niezrównanemi pięknościami nagromadzonemi w XVIII okręgu Paryża i począł uczuwać wstręt do nich.

Jednak Ben-Zuf nie tracił nadziei, że nawróci swego kapitana — postanowiwszy zresztą nigdy go nie opuszczać. Czas służby jego skończył się. Już nawet miał dwie kapitulacye i miał wystąpić z wojska w dwudziestym ósmym roku, prostym strzelcem konnym pierwszej klasy 8go pułku, gdy podniesiony został do godności ordynansa Hektora Servadac. Odbył kampanię ze swoim oficerem. Bił się przy jego boku w wielu potyczkach i nawet tak odważnie, iż przedstawiony był do krzyża; ale go nie przyjął, ażeby pozostać ordynansem swego kapitana. Jeżeli Hektor Servadac uratował Ben-Zufowi życie w Japonii, to Ben-Zuf odwdzięczył mu tem samem w Sudanie. Są to rzeczy, o których się nie zapomina.

Koniec końcem, oto dla czego Ben-Zuf oddawał na usługi kapitana głównego sztabu dwie ręce „na twardo zahartowane“, jak się wyrażają w języku metalurgicznym, zdrowie żelazne, oswojone ze wszystkimi klimatami, krzepkość fizyczną, która dałaby mu prawo nazywania się „przedmurzem Mont-martre“ i nakoniec serce i poświęcenie na wszystko gotowe.

Dodać trzeba, że jeżeli Ben-Zuf nie był „poetą“, tak jak jego kapitan, to mógł uchodzić przynajmniej za żywą encyklopedyę dowcipów i kalamburów żołnierskich. Pod tym względem mógł pouczyć niejednego, a bystra pamięć tuzinami poddawała mu koncepta.

Kapitan Servadac znał się na wartości tego człowieka. Przepuszczał mu wiele wybryków, które zresztą niczem nie naruszony dobry humor ordynansa czynił znośnymi, a przy sposobności umiał mu powiedzieć coś takiego, co jeszcze bardziej zespalało służącego z panem.

Razu pewnego, naprzykład, gdy Ben-Zuf, dosiadłszy swego fantastycznego konika, kłusował „moralnie“ po XVIII. okręgu, kapitan powiedział mu:

— Wiesz, Ben-Zuf, że jedno z drugiem gdyby wzgórze Mont-martre było tylko o cztery

*) Francuscy wyżsi oficerowie, noszą szlify ze złotymi frendzlami, zwykle nazywanemi *graines d'epinard*. P. T.

tysiące siedmset pięć metrów wyższe, to byłoby tak wysokie jak Mont Blanc!

Przy tej uwadze oczy Ben-Zufa mignęły jak błyskawice i od tej chwili jego wzgórze i jego kapitan zespoliły mu się w sercu. (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(*Obrazki geograficzne, napisał Lucyan Tatomir. Lwów, nakładem księgarni K. Wilda, 1878.*)

Geografia do niezbyt dawnych czasów nie zasługiwała na nazwę nauki. Zajmowała się ona prawie wyłącznie politycznym podziałem powierzchni ziemskiej, brała jedno państwo po drugiem, wyliczała znajdujące się w niem góry, rzeki, jeziora, miasta etc. i podawszy taki inwentarz geograficzny każdego państwa, była pewną, że zrobiła wszystko, co do niej należy. Ale spis ten nie dawał najmniejszego pojęcia o zewnętrznem ukształtowaniu opisywanej krainy, góry i rzeki stały osobno, jak gdyby najmniejszego między nimi nie było związku, klimat występował, jako coś z góry nadanego każdemu krajowi, niezależnego od rozmaitych wpływów miejscowych, człowiek zaś, jako pan stworzenia, nie przyznawał się w tej geografii do jakiegokolwiek ulegania wpływom otaczającej przyrody.

Pod wpływem bystrego postępu nauk przyrodniczych i w geografii nastąpiło przeobrażenie, dokonane przez Humboldta i Rittera. Od tego czasu zaczęto traktować ziemię nie jak jakąś szachownicę polityczną ze szczególnemi właściwościami każdej kratki, ale jako wielki organizm nieustannie funkcyonujący, a którego wszystkie funkcye wzajem na siebie oddziaływają. Lądy i morza, rzeki i góry, klimat i roślinność znalazły się w ścisłej zależności od siebie, a człowiek, co dotąd z góry spoglądał na przyrodę i widział w niej tylko swoję sługę i niewolnicę, przekonał się, że to była jego karmicielka i piastunka, która go uczyła stawiać pierwsze kroki, wpajała weń pierwsze wyobrażenia i do dziś jeszcze nie przestaje nań ciągle oddziaływać.

Reforma ta wzięła początek w Niemczech, to też Niemcy nie mogą się dość nachełpić, że są ojczyzną umiejętnej geografii. Trzeba im to jednak z pokorą przyznać, a jeszcze z większą pokorą trzeba przyznać, że w naszej literaturze pole geografii jest zupełnie zaniedbane. Oprócz Wincentego Pola i Lucyana Tatomira, o którego geograficznem dziełku mówimy właśnie, nie było u nas wcale i nie ma dotąd specyalnych pracowników na tem polu.

„Obrazki geograficzne, jak już sam tytuł wskazuje, nie mają pretensyi do tworzenia jakiejś zaokrąglonej całości. W przedmowie autor powiada o nich: „Książeczka niniejsza nie jest tem, czem być zamierzała, lecz tem tylko, czem w danych warunkach być mogła; jest urywkiem szeroko zakreślonego planu przedstawienia w podobnych obrazkach całej fizycznej geografii." Składa się ona z trzech działów: 1) Cieplice i wrzące źródła wulkaniczne; 2) Bursztyn, jego historya i sposób wydobywania nad morzem Baltyckiem i 3) Stepy i pustynie starego i nowego świata.

W traktowaniu tych trzech części zachodzą pewne różnice. Mianowicie pierwsza część mniej od innych odpowiada tytułowi „Obrazków" i mniej popularną od innych może stanowić lekturę. Wynika to po części z natury samego przedmiotu, po części z woli autora, który zbyt ją przeciążył, przynajmniej na pierwszych stronnicach, liczbami i małoznanemi nazwiskami, które publiczność naszą nie bardzo biegłą w geografii, mogą odstręczać. Ale już przy opisie wrzących źródeł i gajzerów Islandyi suche daty ustępują miejsca ożywionym obrazom.

Część druga opowiada po krótce historyę handlu bursztynem, który tak wielką rolę odgrywał w starożytnym świecie, odkrywa tajemniczą kolebkę bursztynu, opisuje rozmaite sposoby dobywania jego i przedstawia na tem tle malownicze sceny. Bursztyn, który jak powszechnie wiadomo, stanowi główne bogactwo morza Baltyckiego, może być dobywany tak z morza jak i z pobrzeżnej ziemi, warstwa bowiem tak zwanej bursztynowej ziemi niebieskiej ciągnie się od dna morskiego i pod zwierzchniemi warstwami lądu, ale dobywanie lądowe daleko jest kosztowniejsze od morskiego. Najciekawszym i najtańszym ze sposobów dobywania bursztynu jest korzystanie z tak zwanego wiatru bursztynnego, który pchając na ląd fale morskie, śle razem z niemi kawałki bursztynu. Skoro tedy zadmie ten pożądany wiatr, a dmie on najczęściej w listopadzie i grudniu, zbierają się całe gminy na wybrzeżu i rozpoczyna się połów. Oto jaki obraz połowu maluje nam p. Tatomir. Rzecz dzieje się na wybrzeżu Samlandyi:

„Zimna, burzliwa noc listopadowa miota huczące spienione fale na ląd i zasuwa niebo czarnych chmur powodzią. Na wybrzeżu płoną ogniska, a dokoła nich roją się ludzie, mężczyźni, kobiety i dzieci. Żywy obraz Rembrandta, tego mistrza mrocznego oświetlenia i ognistych blasków. Wszystko się krząta, spieszy, krzyczy i gwar ludzki miesza się z szumem morza i świstem wiatru. Nie czas bowiem wyczekiwać poranku, a tem bardziej cieplejszej pory. Konieczność zarobku dla wyżywienia siebie i rodziny pędzi w rozigrane, zimne jak lód morze, oswojenie się z niem i niebezpiecznem rzemiosłem daje odwagę, a obecność kupca, który najczęściej znajduje się na miejscu połowu, zapewnia łatwą sprzedaż. Kobiety i dzieci zostają około ognisk, a mężczyźni odziani w skórę brodzą na jakie sto kroków aż po szyję w morze i łapią sieciami porost bursztynowy. Morze łamie kości, ścina krew w żyłach, a zmoczona skóra obmarza na skrzepniętem ciele. Skoro więc sieć się napełni, spieszy każdy na ląd, wysypuje połów i grzeje się przy ognisku, aby stwardniała mrozem skóra odtajała, i znowu spieszy w morze. Tymczasem kobiety i dzieci rzucają się na kupkę porostu, namułu i piasku wyrzuconą z sieci, rozgrzebują ją rękami i szukają bursztynu. Wesoły okrzyk oznajmia, że znaleziono większą, wyborową bryłę. Ale ileż to razy połów zawiedzie i w całej kupie, z taką mozołą zebranej, najstaranniej przetrząśniętej i przemięszonej, zamiast bursztynu znajdzie się tylko kilka kamyków zaplątanych pomiędzy morszczynami. Wiatr się wzmaga, morze huczy coraz groźniej i coraz wyżej się wzdyma, ale i bursztynowy porost coraz gęściej się miesza z pianą morską ciskaną na wybrzeże. Nieustraszeni rybacy wiążą się linami, aby rozigrane morze nie rozerwało szeregu i nie popchnęło którego z nich, i wspierając się na długich żerdziach swoich sieci, przeskakują spienione grzbiety wzdętych bałwanów. Wschód słońca zastaje ich przy pracy, której zachód nie przerywa; tylko robotnicy się zmieniają, ale połów trwa dzień i noc, zimą czy latem, dopokąd rozkołysane morze się nie uspokoi i nie przestanie nieść porostu bursztynowego."

Część trzecia, zajmująca większą połowę książkę, jest najciekawszą i najbardziej odpowiada tytułowi książki. Jest to w istocie wspaniała panorama, w której przesuwają się przed naszemi oczyma groźne i wielkie obrazy pustyń wszelkiego rodzaju, począwszy od lądowych płaszczyzn pod biegunami, do skwarnych, duszących, piaszczystych stepów pod równikiem. Naturalnie wśród tych martwych przestrzeni wszelki, najdrobniejszy ślad życia interesuje nas stokroć więcej, niż w krainach normalnej wegetacyi; pamięta o tem dobrze p. Tatomir i nie zaniedbuje żadnego szczegółu, zdolnego ożywić krajobraz pustyni, zaznajamia nas z ubogimi szczątkami jej wegetacyi, z jej światem zwierzęcym, wtajemnicza w życie jej ludzkich mieszkańców. Część tą czyta się z taką przyjemnością, jak najciekawsza podróż dokoła świata, tem bardziej, że w niektórych miejscach używa autor formy podróżopisarskiej. Za naukową jej wartość ręczy znaczny materyał, spisany w końcu książki, a na podstawie którego kreśli nam autor swoje obrazy. Żeby zaś dać poznać całą malowniczość języka i poetyczność, do jakiej się wznoszą te obrazy, przytoczę jeszcze obraz czarnomorskich stepu:

„Ku końcowi marca, gdy nastanie ulewa wiosenna, dopieka już słońce mocno na stepowych równinach czarnomorskich. Lekkie białe chmurki snują się po niebieskim stropie; skowronki wzlatują, dzwoniąc pieśń wiosenną, górą ciągną stada i klucze przelotnych ptaków, i dzień i noc słychać w powietrzu ich głosy, zwiastujące porę odrodzenia. Rzeki wystąpiły, łąki przemieniły się w jeziora, wszystkimi jarami i wypłóczyskami szumią mętne potoki deszczowe, a niskie kępy na rzekach znikły w zebranej wodzie, nad którą sterczą tylko gałęzie drzew i wysokie skaliste ostrowy. Zaledwie spadły wody, wytryska z napojonej niemi ziemi życie roślinne, jak za dotknięciem różczki czarodziejskiej; zżółkłe trawy zeszłoroczne i zczerniałe szkielety łodyg okrywa nowy kobierzec zielony, nowem haftowany kwieciem i w pierwszym miesiącu letnim step cały, w nowe, barwne przystrojony szaty, przepełnia wonią powietrze i wygląda jak

. . . . suchego przestwór oceanu;
wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi
śród fali łąk szumiących, śród kwiatów powodzi.

O południu sypie słońce żarem z bezchmurnego nieba na ten suchy ocean, milkną wszystkie głosy, kryje się wszelkie życie w komysze i oczerety, i step uspiony i oniemiały ścieli się przed okiem znużonego wędrowca martwą płaszczyzną bez końca, bez oddechu, bez ruchu; tylko powietrze rozpalone drga i migoce milionami drobniutkich gwiazdeczek, jakoby deszczem ognistym. Na wierzchołku kurhanu siedzi nieruchomy orzeł stepowy, jakoby na straży tych, co śpią tam „na wieńcach swojej starej sławy", w powietrzu zawisł na rozpostartych skrzydłach krogulec, a na szlaku ubitym przed wieki kopytami tatarskich zagonów, który wije się wężem po bezbrzeżnych równinach i ginie w dali w zaroślach bużanów, rozłożył się na południenek tabor czumaków, wiozących na mażach skrzypiących sól, którą wymieniali za zboże w portach czarnomorskich. Znużone woły pokładły się w trawę drzemać i odżuwać, a w cieniu wozów siedzą czumaki w koszulach wysmarowanych mazią i w wysokich czapkach baranich, i paląc krótkie fajeczki, błądzą zadumanem okiem po stepie bez granic i marzą — marzą o tem, że nie ma raju nad step, nie ma życia nad czumacką włóczęgę, nie ma większej rozkoszy nad gałuszki (kluski) omaszczone słoniną! Ale po zachodzie słońca, gdy noc zapadnie i szafirowe niebo milionami roziskrzy się gwiazd, budzi się step ze snu. Roje owadów brzęczą w powietrzu, ze wszech stron odzywa się bicie przepiórek, z komyszów wymykają się dropie żerować na łanach, w ślad za nimi wykrada się lis polować na myszy, norniki i chomiki i siwy wilk wychodzi z oczeretów, a górą przelatują z szumem i świstem stada wodnego ptastwa, ciągnąc na jeziora stepowe, i po głuchej ciszy dziennej rozbrzmiewa step tysiącem szmerów, dźwięków i głosów, zlewających się razem w jeden wielki koncert nocny, który grają i ziemia i wody i niebo."

J. T.

TEATR.

(Diana de Lys, dramat w 5 aktach Aleks. Dumas'a syna. Pierwszy występ p. Parzmckiej).

Diana de Lys nie jest nowością teatralną, co zwalnia poniekąd recenzenta od szczegółowego jej rozbioru. I chwała Bogu! bo możnaby się porządnie nazłościć, analizując ten cukierek paryski, który pod moralną etykietą zawiera w sobie wcale podejrzane przyprawy. Moralność występuje tu przy końcu sztuki, jak żandarm i aresztuje, ba, nie tylko aresztuje, ale trupem kładzie na miejscu bohatera-winowajcę, lecz ta surowość musi widza wprawić w zdumienie, gdyż autor przez całą sztukę starał się w jak najkorzystniejszem świetle przedstawić winowajcę i jego stosunek zakazany do cudzej własności. Już to moralność, jak się zdaje, nie tyle jest tu wezwaną dla zrobienia porządku moralnego, ile dla zakończenia sztuki, w sposób trochę brutalny, ale łatwy i prędki.

Ale czy sztuka doprawdy jest skończoną? Czy wystrzał z pistoletu rozwiązuje wszystkie wątpliwości i przywraca wszystko do należytego porządku? Widz wysiedziawszy się przez pięć długich aktów, z niemniej długimi, ale mniej zabawnymi antraktami, ogłuszony strzałem pistoletowym, widząc padającego bohatera na ziemię, a przy nim bohaterkę, widząc nareszcie spadającą kurtynę, nie myśli zadawać sobie pytania, czy to naturalny koniec sztuki, czy nic nie pozostaje do wyjaśnienia, tylko spieszy co prędzej na kolacyę. Gdyby jednak zadał sobie to pytanie, cóżby się okazało?

Okazałoby się, że sztuka wcale nie jest skończoną. Zastrzelono wprawdzie kochanka hrabiny de Lys, ale ona sama żyje. Na strzał z pistoletu zemdlała, ale bez wątpienia nie omieszkają jej otrzeźwić, i cóż potem? Czy przejedna się z mężem, czy go porzuci na zawsze, czy wstąpi do klasztoru podług da-

wnej recepty, czy... już nie wiem co? Ona przecież jest główną osobą, ona nadaje tytuł sztuce, stosunek jej do męża jest głównym motywem dramatu, mamy więc prawo wiedzieć, co się z nią stanie? Tymczasem nic a nic nie wiemy, oprócz tego, że zemdlała.

W roli tytułowej występowała pani Parżnicka po raz pierwszy na deskach lwowskiego teatru. Trzeba przyznać, że jakkolwiek Dyana jest wyrobem dramatycznym bardzo pośledniego gatunku, przedstawia przecież obszerne pole do popisu dla artystki, która występuje w głównej roli, i temu tylko przypisujemy wybór tej sztuki na pierwszy występ artystki. Dyana de Lys jest rodzoną siostrą Frou-frou i Feuilletowskiego Sfinxa, jest to uosobienie kobiecego kaprysu, oprawnego w wytworne formy wielkiego świata, mnóstwo więc w niej półcieni, półświatel, które gra artystki musi z wielką subtelnością wydobywać.

Pani Parżnicka odpowiedziała zadaniu swemu z wielkiem powodzeniem. W grze swojej umiała połączyć elegancyę z prostotą, w scenach wesołych umiała wybornie cieniować żartobliwość tonu, w scenach patetycznych nie brakło jej siły w wyrażaniu uczuć. Możnaby tylko zarzucić artystce pewną monotonność głosu, która nie była jednak tak rażącą, aby psuła całość wrażenia jej grą wywołanego. Publiczność sympatycznie przywitała artystkę i kilkakrotnie wywoływała ją w między-aktach. W końcu dodać należy, że p. Parżnicka posiada i literackie zdolności, a mianowicie, że to ona przetłómaczyła Dyanę de Lys, i że tłumaczenie odznacza się czystością i elegancyą języka.

J. T.

AUSTRYACKI PROJEKT ROZBIORU TURCYI z r. 1777.

Polityczny horyzont Europy posępnieje co raz bardziej, a przesuwające się po nim chmury przybierają co raz groźniejsze cechy. Z wytężoną uwagą spoglądają ludy europejskie na oryentalną scenę, na której rozgrywają się każdego niemal dnia świeże, a mało spodziewane wypadki.

I choćby nawet w państwie naszem polityka ministra spraw zagranicznych cieszyła się w kwestyi oryentalnej uznaniem ze strony ciał parlamentarnych po tej i tamtej stronie Litawy, to jednak wobec dziwnych zajść politycznych powszechny niepokój musiał ogarnąć umysły, a w miarę nawet rosnącej wśród tych wypadków roli wiedeńskiego gabinetu, obawy musiały sięgnąć do głębi umysłów. Bo też jasnem jest dla każdego, że zajścia wschodnie w pierwszym rzędzie obchodzą monarchię austro-węgierską. I jeśli inne mocarstwa czekać mogą do pewnego chociaż czasu, co dalej w Turcyi i z Turcyą dziać się będzie, jedna monarchia austryacka musi mieć stanowczo określoną względem tych wypadków politykę i każda jej decyzya, każdy jej krok jest brzemienny konsekwencyami na przyszłość.

W takim stanie rzeczy nic dziwnego, że przeszło od wieku całą dyplomatyczną zręczność rozwijali austryaccy mężowie stanu w kwestyi oryentalnej. Wzgląd bowiem na barbarzyńską potęgę wschodu odgrywał już za Karola VI przy ważnych wypadkach politycznych wybitną rolę.

Świetne zwycięstwo Eugeniusza pod Piotrowaradynem (1716 r.), zdobycie temeszwarskiej twierdzy w Banacie, kapitulacya wielkiego wezyra w Belgradzie, spowodowały pokój Passarowicki r. 1718, w którym poprzestał cesarz na Banacie, części Serbii i na Zachodniej Wołoszczyźnie aż po Alutę. Gdy zaś i po śmierci Eugeniusza gabinet austryacki zaślepiony poprzedniemi zwycięstwami, rzucił się z zrujnowanemi finansami w nową wojnę z Turcyą, poniosło źle dowodzone wojsko austryackie trzykrotną klęskę, a w pokoju belgradzkim r. 1739 uzyskali Turcy napowrót znaczną część poprzednich strat.

Wtedy to Rosya, zazdroszcząc orężnemu powodzeniu Turcy w Persyi i w wojnie z Austryą, mając na względzie swoje ważne interesa nad Czarnem morzem, chętnie pragnęła się porozumieć w kwestyi oryentalnej z dworem austryackim, a skoro państwo pruskie, w pierwszych latach rządów Fryderyka, europejskiego dobiło się stanowiska, stał się ścisły związek z Rosyą aksiomatem austryackiej polityki. Dążność ta — zupełnego upokorzenia Prus, skrystalizowała się w austryacko-rosyjskim tajemnym traktacie z r. 1746.

Rosyjska cesarzowa Elżbieta, kategoryczna przeciwniczka wielkiego monarchy, zawarła z Maryą Teresą i w porozumieniu z hr. Brühlem, najwpływowszą osobistością na dworze saskim, przymierze wzajemnej obrony przeciwko ewentualnym napadom Prus, których i po zawarciu drezdeńskiego pokoju się obawiano. I aż do śmierci Elżbiety udało się też rzeczywiście wpoić w umysły rosyjskich dyplomatów zasadę, że dalsze rozszerzanie się sąsiedniego państwa sprzeciwia się politycznym interesom Rosyi.

Wstąpienie na tron carski domu holsztyńsko-gotorpskiego nadało nowy zwrot polityce rosyjskiej. Piotr III., wylany przyjaciel i czciciel Fryderyka II., sprzymierzył się z Prusami, a i po zamordowaniu tegoż, polityka i wdzięczność przykuwały Katarzynę do ukoronowanego filozofa. I wyłącznie tylko mistrzowskiej dyplomacyi księcia Kaunitza przypisać wypada, że potrafił z rokowań o pierwszy rozbiór Polski, o tyle przynajmniej skorzystać, ażeby słabniejące związki z Rosyą napowrót umocnić.

Konieczność związku z Rosyą wykazują wszystkie akta ówczesnej kancelaryi rządowej, a zasada ta wchodziła również w zakres politycznego systemu księcia, któremu Marya Teresa prawie wyłącznie powierzyła kierownictwo zagranicznemi sprawami. Tem się tłómaczą instrukcye dawane później austryackiemu posłowi w Petersburgu, by nie szczędził ani złota, ani pieniędzy celem zerwania przyjaźni prusko-rosyjskiej, a umacniania serdecznych z Rosyą stosunków, tem się tłómaczyła gorąca chęć Józefa, objawiona w Wiedniu ks. Galicyn, zawarcia osobistej znajomości z imperatorową Rosyi, tem tłómaczy się w końcu ów głośny zjazd Józefa II z Katarzyną. Wszak sam cesarz, wedle słów angielskiego posła w Petersburgu, miał oświadczyć, że „Katarzyna może go uważać, jakby za swego generała, a jego armią, jak za swoję własną, i że ambicyą jego jest *odepchnąć Turków nieco dalej.*“*)

Ta też wspólna Rosyi i Austryi ambicya odepchnięcia Turków nieco dalej, była jednem z głównych ogniw, wzmacniających ściślejsze między obydwoma dworami stosunki. Interesa bowiem Austryi i Rosyi zbiegły się najwidoczniej w jednym punkcie tj. w kwestyi oryentalnej.

Myśl zadania śmiertelnego ciosu państwu Osmanów wchodziła w program rozległej polityki Katarzyny i chodziło tylko o to, czy dyplomacya wiedeńska zdecyduje się wystąpić za utrzymaniem tureckiego państwa, czy też zechce wziąść udział we wspólnej zdobyczy. Od r. 1776 omawiano obszernie w Wiedniu tę kwestyę. Uzyskanie nowych posiadłości na południu Dunaju, wydało się bezsprzecznie korzyścią dla austryackiego państwa, które właśnie tam za Karola VI. znacznego ubytku w ziemi i ludziach doznało. Obecnie można było nie tylko stracone odzyskać, ale nadto błyskały nowe zdobycze, które tem bardziej na szali zaważyły, ile że w akwizycyi obszarów polskich nie widziano wcale stosownej rekompensaty za utratę Szląska. I ze stanowiska militarnego wreszcie wypadało przemawiać za posunięciem granicy austryackiej na południe.

Kilka dokumentów odnoszących się do tej kwestyi, a rzucających wiele jasnego światła na ówczesną politykę austryackiego dworu w sprawie oryentalnej, znalazł w wiedeńskiem archiwum rządowem Adolf Beer, znany autor „pierwszego Polski rozbioru,“ i publikował je przed trzema laty w felietonowym artykule czasopisma „Deutsche Zeitung“ pt. „*Die Zusammenkunft Josefs II. und Katharine II.*“ Naczelne miejsce zajmuje projekt hr. Lascy, marszałka polnego i prezydenta gabinetowej Rady wojennej. Hr. Lascy, biorący pod ten czas czynny współudział w najdelikatniejszych kwestyach rządowej polityki, zakreśla w swoim memoryale z d. 2go maja 1777 r. linią biegnącą Dunajem do Aluty, wykręcającą się następnie od Nikopoli do Sofii, a ztąd ciągnącą się aż do zatoki Contessa. Linia ta, argumentował generał, byłaby najkrótszą i według wszelkiego prawdopodobieństwa najkorzystniejszą, gdyż Austrya uzyskałaby wówczas tak zwaną Wołoszczyznę, dalej część Bułgaryi, Serbię i Bośnię.

W załączeniu do swego projektu rozwija hr. Lascy cały plan operacyjny, za pomocą którego możnaby wejść w posiadanie rzeczonych krajów i wydało się dlań rzeczą najpewniejszą, że Rossyanie w ciągu jednej wyprawy posiędą Konstantynopol.*)

Wierzył i sam Kaunitz w możliwość zrealizowania śmiałych pomysłów hr. Lascy, a ze swej strony dołączał tylko zasadę, by do współdziału w tej sprawie nie przypuszczać Prus. W dotyczącym referacie, znalezionym w wiedeńskiem archiwum i przejrzanym przez Beera, sądzi Kaunitz, że Fryderyk winien tylko nie stawiać żadnej przeszkody i stać na straży, aby inne mocarstwa planów Austryi i Rossyi nie zburzyły. Za tę usługę będzie wystarczającem *obdarzyć go małym kawałkiem ziemi w Polsce.**)*

Zręczny, rozumny i wytrawny dyplomata, jakim był Kaunitz, musiał atoli również pojąć w jednej chwili, że stanowcze w tej mierze porozumienie z Rossyą, tylko w tym wypadku mogło nie wywołać kolizyi z resztą mocarstw, gdyby Francya, jako trzecia potęga, do tego sojuszu przystąpić chciała. W Wiedniu nie chciano bowiem osłabiać związków z Wersalem, gdyż w przymierzu francuskiego dworu z Berlinem dopatrywano, nie bez słuszności, wielkie niebezpieczeństwo dla naddunajskiego państwa. Z jakąż łatwością mogłyby Prusy wsparte przez Francyę, poburzyć oryentalne plany, skoroby w chwili zapasów Austryi z Portą, wkroczyły do Szląska i Morawii i obsadziły tamże bezbronne obszary?!

Dla zgruntowania tedy intencyi wersalskiego gabinetu wybrano męża, który już w Konstantynopolu złożył wymowne dowody swego dyplomatycznego talentu. Był nim baron Thugut, który w raporcie przesłanym swemu dworowi donosi, iż mężowie stanu, kierujący interesami Francyi, nie podzielają zgoła zapatrywań, panujących w Wiedniu w kwestyi oryentalnej. Widzą

*) Raumer: Beiträge zur neueren Gesch. Leipzig 1839 t. III. str. 553.

*) Vorschläge des Feldmarschales Grafen von Lascy. Wien 2. Mai 1877, (im Staatsarchiv.)

**) Vortrag v. 12. Mai 1780. Jest to manuskrypt ks. Kaunitza, a do niego dołączony memoryał samego cesarza.

oni wprawdzie krytyczną pozycyę Porty, lecz zdaniem ich rozgromienie otomańskiego państwa leży jeszcze w bardzo dalekiej przyszłości, a nawet wśród nieprzewidzianych wypadków zdoła sobie Porta dać radę. *Vergennes* przyznawał w zupełności, że interesa Austryi o wiele głębiej mogą być zaangażowane na wypadek jakiego przewrotu w Oryencie, ale jest to rzeczą wiedeńskiego gabinetu, rozwinąć plan i poczynić stosowne projekta celem usunięcia grożących niebezpieczeństw. Francya, o ile stosunki i okoliczności pozwolą, nie usunie się od współdziałania. O czynnym atoli udziale Francyi w planie podziału Turcyi nie może jednak na razie być mowy. Gdyby zaś Rosya w tamtych krajach poczyniła znaczniejsze postępy, to pozostanie jeszcze, zdaniem francuskich polityków, dość czasu, by w ostatniej chwili opanować Cypr, Egipt i inne kraje, stanowiące ważne punkty oparcia na morzu Śródziemnem. *)

Ta tak dyplomatycznie wymijająca odpowiedź francuskiego gabinetu wpłynęła może nie mało, że plany oryentalne odstępują na razie z zakresu politycznych dyskusyi, a do czego również przyczynić się musiało wygaśnięcie młodszej linii domu Wittelsbach ze śmiercią elektora Maksymiliana Józefa 30go grudnia 1777 r. Pozyskanie bawarskiej sukcesyi, mogącej doskonale zaokrąglić granice austryackiego państwa od Zachodu, zaprzątać poczęło gorąco umysły austryackich mężów stanu. Gdy atoli pierwsza próba wcielenia Bawaryi się nie powiodła, a wybuchłym z tego zawikłaniom między Austryą a Prusami, położył kres pokój cieszyński 13go maja 1779 r. przy pośrednictwie Katarzyny zawarty, wtedy można było podjąć napowrót dawniej już obmyślane plany oryentalne.

Jakich środków używała późniejsza dyplomacya ku ich zrealizowaniu i w jakie nowe fazy wchodziła t. z. kwestya oryentalna, a w jakie jeszcze wejść musi, wykazują jasno urzędowe dokumenta współczesne, których publikacya z dniem każdym się wzmaga i wykazują nie mniej sceny rozwijające się za dni naszych na bałkańskim półwyspie. Lecz bądź co bądź, trochę dziwną wydaje się fabrykacya owego projektu rozbiorowego hr. Lascy w r. 1777, a więc w czasie, kiedy Austrya z Portą zostawała na zupełnie przyjaznej stopie, kiedy Porta na mocy osobnej konwencyi z d. 25. lutego tegoż roku pozostawiła Austryi Bukowinę, reklamowaną od lat kilku przez Maryą Teresę i kiedy mołdawskiego hospodara Grzegorza Ghikę, podnoszącego protest przeciw temu ustąpieniu na rozkaz sułtana, w Jassach uduszono. Jest to jeden z owych licznych przykładów historycznych, wskazujących jak wyglądają owe pozornie konserwatywno-pokojowe alianse po za dyplomatycznemi kulisami!

Michał Chyliński.

*) Punction an Thugut vom 22. December 1777 und Anmerkungen des Barons Thugut über seine Reise nach Paris u. s. w. vom 6. Juni 1779. (Archiwum wiedeńskie.)

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 20. października.

Z pomiędzy wszystkich pór roku najbardziej usposobiającą do popełniania utworów rymowanych jest jesień. Nigdy redakcye pism literackich nie są zalewane takim potopem rozbujałych fluktów uczucia, rozsymentalizowanego upadającemi liśćmi i ostatnimi ciepłymi promieniami słońca. Gdybyś, szanowny czytelniku, był jak my zmuszony odczytywać te całe ryzy papieru dręczonego gorączkowemi piórami, westchnąłbyś litośnie nad losem naszym. A w dodatku jeszcze te wszystkie jesienne utwory przepełnione są taką rozpaczą, takiem ossyanowskiem wzburzeniem, taką goryczą, jakby każdy z tych wieszczów

W oku miał rozpacz, a w ręku pistolet,
I śpiewał chmurom piekielny tryolet!...

Ile tu czasu zmarnowanego!

* * *

A propos liści zżółkłych i opadłych. Wiadomym już jest powszechnie rezultat zgromadzenia wyborców w sprawie Dra Juliana Czerkawskiego. Po długich przemówieniach w których rozbierano nie tylko kwestye polityczne, ale i inne należące do trzech różnych fakultetów, na które uczęszczał Dr. C, po dokładnem zbadaniu czy Dr. Czerkawski robiąc ciągłą analizę przychodzi czasami do syntezy, po przytoczeniu poetycznych legend i zużytkowaniu najrozmaitszych form retorycznych, przyszli wyborcy miasta Lwowa do przekonania, że przekonania p. J. C. nie zgadzają się wcale z przekonaniami wyborców.

* * *

O odczytach, tak licznie w dawnych latach o tej porze zapowiadanych, nic a nic jeszcze nie słychać. Spodziewać się jednak należy, że za dni kilka rogi ulic zalepione będą afiszami oznajmującemi o odczytach Towarzystwa pedagogicznego, muzeum przemysłowego, Towarzystwa przyrodników itp. Nie mamy jeszcze wcale programu odczytów Towarzystwa pedagogicznego, ale mamy nadzieję i życzylibyśmy sobie jak najmocniej, żeby raz wprowadzono tam ład pewien w szeregu tematów opracowanych. Dotąd przedmioty wykładane stosują się do prelegentów, a nie prelegenci do przedmiotów, i słuchaczki otrzymują taką korzyść z odczytów jak z czytania luźnych artykułów w jakiemś naukowo-literackiem czasopismie. Sądzimy jednak, że Towarzystwo, na czele którego stoi obecnie dzielny pedagog, zechce teraz temu zaradzić, a to łatwo można przeprowadzić, gdyż z powodu istnienia w naszem mieście dwóch takich zakładów naukowych jak Uniwersytet i szkoła politechniczna na brak prelegentów narzekać nie możemy.

* * *

W ostatnim numerze „Tygodnia“ poruszyliśmy sprawę naukowego opisu wystawy, na który Sejm dał pieniądze, i robiliśmy zarzut, że wzięto się do dzieła w sposób nie odpowiedni, że wyznaczono sprawozdawców, którzy nie zajmowali się specyalnie wystawą. Otóż wiemy dokładnie, że w niektórych wypadkach tak się już zdarzyło, że sumienni sprawozdawcy odrzucili propozycye.

BIBLIOGRAFIA
polska.

— *Cztery powiastki* dla Wojtka i Marysi, napisała Marya H. (z ryciną) Warszawa 1877 8ka str. 72, cena 35 ct.

— *Czy będzie Polska?* napisał Warszawiak. Lwów 1877/8 8ka, str. 18, cena 20 ct.

— *Encyklopedya ogólna* wiedzy ludzkiej, tom XII. (ostatni) Truchsess-Żyzmory, Warszawa 1877, 8ka, str. 480 cena za komplet 12 tomów 25 złr. w ozdobnej oprawie 34 złr.

— *Gloger Zygmunt.* Starodawne dumy i pieśni, Warszawa 1877, 8ka, str. 152 cena 50 ct.

— *Helcin August.* Gra w szachy wyłożona na mistrzowskich partyach Anderssena, Morphyego, Steinitza, Paulsena, Dubois, Kolischa, Stauntona, Kizieryckiego, Horowitza, Owena, Loyda, Arnons de Riviére, Zutertorta, G. K. Neumanna, Bieniowskiego, Rosenthala, Winawera, Petrowa, Darnes i w. i. Metoda służąca do wydoskonalenia się praktycznie samemu. Warszawa 1878, 8ka, str. 127 cena 2 złr.

— *Józef del Medico* profes. chirurgii w Rzymie 1811 r. Anatomia dla użytku malarzów i rzeźbiarzów, z włoskiego oryginału przełożona, przypiskami i dodatkiem zaopatrzona przez Wojciecha Gersona w Warszawie R. p. 1876. Tablice objaśniające w liczbie 33, wykonali litograficznie uczniowie szkoły rysunkowej warszawskiej: W. Kolasiński, J. Konopacki, M. Kotarbiński, S. Masłowski, J. Owidzki, J. Ryszkiewicz, K. Waroczewski, L. Wiesiołowski, L. Wyczółkowski, S. Bakałowicz, K. Gołębiowski i E. Perl. Warszawa 1877 folio str. 35. tablic 33 cena 9 złr. 20 ct.

— *Rogojski J. B.* doktor filozofii i nauk przyrodniczych b. nauczyciel chemii. Listy o kulturze. List III. Nauka gospodarności. Radom, 1877. 8ka. Str. 92, cena 1 złr.

— *Saulsonowa* Rozalia z Feliksów Klonek, obrazek ludowy z życia. Warszawa 1877. 8ka, str. 39, cena 35 ct.

— *Skurzalski Dyonizy.* Skutki i przyczyny dobrowolnego bezżeństwa u nas, odczyt publiczny miany w Piotrkowie na rzecz osad rolnych w teatrze T. Spahna dnia 25 kwietnia, 17 maja 1876 r. Warszawa, 1877. 8ka. str. 51, cena 40 ct.

— *Szklarz Michał.* Mineralogia dla wyższych klas szkół gimnazyalnych, realnych i przemysłowych oraz seminaryów nauczycielskich, z 241 drzeworytami w tekście. Bochnia 1877. 8ka. str. IV. i 345, cena 1.60.

— *Wiel dr. Józef.* Dyetyczne leczenie chorób żołądka. Przekład dzieła Tisch für Magenkranke von Med. Dr. Josef Wiel, Karlsbad, 1876. Warszawa, 1877, 8ka. str. III. 84. cena 1.90.

— *Wojewódzki* Justyn. Kwestya domu zarobkowego w Warszawie, tudzież zaradzenia ubóstwu w kraju. Warszawa 1877. 8ka. str. 70, cena 80 ct.

— *Wojewódzki* Justyn. O polepszeniu losu podrzutków przy szpitalu Dzieciątka Jezus. Warszawa, 1877. 8ka, str. 10, cena 20 ct.

— *Zasady i polityka* przez J. K. Warszawa, 1877, 8ka, str. 13, cena 30 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.
Literatura, sztuka i nauka.

— *Dziejów powszechnych Szlossera* opuścił już prasę zeszyt 121.

— *Czy będzie Polska?* Pod tym tytułem wyszła świeżo z pod prasy we Lwowie broszura polityczna.

— *Bartnika postępowego* nr. 20 zawiera: Walne zgromadzenie Galicyjskiego Towarzystwa pszczelniczo-ogrodniczego. Odpowiedzi. Curiosum. Pożyteczne to pismo, wydawane staraniem i pod redakcyą profesora T. Ciesielskiego, kosztuje rocznie tylko 1·75.

— Nakładem Tow. pszczelniczo-ogrodniczego wyszedł z druku *Kalendarz* pszczelniczo-ogrodniczy, którego treść przeważnie jest poświęcona sprawom sadownictwa i pszczelnictwa, tym ważnym gałęziom przemysłu gospodarskiego. Kalendarz ten zawiera również dział informacyjny. Kosztuje 50 ct.

— *Biesiady* nr. 94 zawiera: Henryk Siemiradzki z portretem. Historya banknota, powieść przez

Waleryę Marrené. Listy z Zakątka J. I. Kraszewskiego. Z wystawy lwowskiej. Nieustraszony Wędrowiec. Odaliska. Kobieta na urzędzie, powieść. Wspomnienie historyczne. Kronika polityczna. Sprawozdanie handlowe. Okruszyny.

— *Wędrowca* nr. 42 zawiera: Podczas wojny i po wojnie, obrazki Alf. Daudeta. Oblężenie Berlina. Granice wiedzy ludzkiej. Szkoły morskie we Francyi. Religia urzędowa w Chinach. Odwiedziny u Ludożerców w Afryce Zachodniej. Podróż do Chin Juliana Sosnowskiego. Kalendarz staromeksykański. Dontra Ewornia, sceny z życia meksykańskiego. Nowości. Zagadnienie matematyczne.

— Dr. Teodor Tripplin, o którego śmierci wielokrotnie pisano, wrócił do Warszawy i ogłosił prenumeratę na nowe dzieło pt. *Wspomnienia z ostatnich podróży* w 4 tomach. Dzieło to zawierać będzie: Austrya, Węgry, Księstwa Naddunajskie, Serbia, Bułgaria, Konstantynopol i jego okolice. Palestyna, Judea, Egipt, Tripolis, Algier, Neapol, Rzym, Francya południowa i Sabaudya, Włochy całe, Sycylia, Malta, Tunis, Jerozolima, Dalmacya, Czarnogóra, Istrya, Tyrol, Styrya, Powrót do kraju. Prenumerata wynosi 8.50.

— *Biblioteki Mrówki* opuścił prasę tomik 54 zawierający J. Słowackiego, Poema Piasta Dantyszka herbu Leliwa o piekle. W dalszym ciągu tej Biblioteki wyjdą J. Słowackiego *Jan Bielecki*, Teofila Lenartowicza *Lirenka* i Juliana Bartoszewicza *Historya polska*.

— W Warszawie ma być założone nowe pismo ludowe. Szczęść Boże!

— *Dla mamony*, obraz dramatyczny w 3 aktach, napisał Stanisław Kostka Tokarski. Wyszedł z druku w Kołomyi nakładem autora.

— Strauss wyjechał z Wiednia do Paryża, gdzie będzie obecny pierwszemu przedstawieniu operetki „Fledermaus.“ Tekst francuski został zupełnie zmieniony, a sama operetka nosić będzie tytuł: „La Tsigane.“

— Matejko zwiedził Malborg, Gdańsk i Toruń, wszędzie przyjmowany z zapałem.

— W Rydze dnia 14go bm. odbyło się posiedzenie Towarzystwa historycznego prowincyi nadbałtyckich, na którem przedstawiono parę dokumentów i z naszej historyi. Prezydent Towarzystwa przeczytał list radcy tajnego von Goetze z Petersburga, w którym tenże pyta się, czy w Inflantach znaną jest przepowiednia, znajdująca się w XI tomie Büschinga magazynu. Przepowiednia ta twierdzi, że Rosya dopóty nie zawładnie Inflantami, dopóki cesarz rossyjski nie ożeni się z Inflantką. Oprócz tego baron Edward Tyzenhauzen przedstawił kopię traktatu zawartego między Piotrem Wielkim a Augustem Mocnym, królem polskim, w Toruniu z dnia 20go października 1709 roku.

— Gerson wykańcza obecnie duży obraz historyczny: „Dwie Laszki w XIII wieku rozbrajające Pomorzanina.“ Przedstawia on jednego z owych łupieżców pędzonego przez dwie kobiety, matkę i córkę, które go śpiącego w zaroślach dostrzegły i skrępowały.

— Panna Tomaszewicz, rodem z Królestwa, wpisawszy się przed laty kilku na wydział lekarski w Zürich, ukończyła zupełny kurs nauk i po napisaniu rozprawy o rozwoju błędnika (labirynt uszny) otrzymała stopień doktora medycyny. O ile wiadomo nam jest, młoda uczona uzyskała wyjątkowe pozwolenie rządu, na skutek wniosku poselstwa, kształcenia się w Szwajcaryi, dla tego powraca do kraju z zamiarem korzystania z przysługującego prawa kobietom, praktykowania w zawodzie lekarskim. Panna Tomaszewicz pracowała pod kierunkiem prof. Hermana, specyalisty chorób usznych, którego uwagę swojem zamiłowaniem i pracowitością na siebie zwróciła. Ta nowa adeptka Hipokratesa liczy 23 lat życia. Będzie to u nas pierwszy doktor-kobieta.

Wiadomości ekonomiczne.

— Studya do projektu regulacyi koryta rzeki Wisły, na całej jej długości od granicy austryackiej do pruskiej zostały ukończone. Projekt sam, jak nam mówiono, w pierwszych miesiącach roku przyszłego ma być wygotowany.

Podróże.

— Towarzystwo utworzone celem odbycia „Podróży na około świata,“ wkrótce już ma podobno zamiar rozpocząć wyprawę. W tym celu na 15go czerwca, kiedy mają odpłynąć podróżni z Marsylii, przygotowany zostanie statek z wszystkiemi dogodnościami i komfortem. Marszruta idzie przez morze Śródziemne, cieśninę Gibraltarską i Madeirę, do Brazylii, następnie przez cieśninę Magielańską do San-Francisco, a ztamtąd do Australii i Japonii; zkąd brzegiem do Chin, Indostanu, Arabii, przez Suez i morze Śródziemne z powrotem do Marsylii. Osób mających uczestniczyć w podróży ma być najwyżej 70, najmniej 30. Są trzy klasy pasażerów, z których jedni płacą po 23.000 franków, inni po 87.000, a jeszcze inni po 14.000.

— *Stacye meteorologiczne pod biegunem północnym*, zdaje się, że niedługo z fazy projektu przejdą w rzeczywistość. Sprawą tą żywo zajmują się dwaj austryaccy żeglarze, Weyprecht i hrabia Wilczek, znani ze swych wypraw do bieguna, którzy niedawno przedstawili Towarzystwu meteorologicznemu w Utrechcie, że gotowi są udać się do bieguna w celu urządzenia takiej stacyi na północnym brzegu Nowej Ziemi. Oprócz tego sprawa ta w innych miejscach żywo się obecnie agituje. Warunki, na jakich mają być stacye urządzone, są następujące: 1. każda stacya winna się znajdować jak można najdalej na północ, oraz 2. żeby była dostępną. Za najodpowiedniejsze dla tego celu uznano następujące miejscowości: Szpicberg, leżący pod 80 stop. szerokości północnej; brzeg Syberyi niedaleko ujścia Leny; Upernawik w Grenlandyi; Nową Ziemię i wschodni brzeg Grenlandyi. Dla połączenia wszystkich tych stacyi z Europą, zamierzają urządzić stacyę obserwacyjną w północnej części Norwegii. Niektórzy uczeni propagują także myśl urządzenia podobnych stacyi na południowej półkuli, mianowicie na przylądku Horn i na wyspach Auklandzkich. Jak dalece ważne są te projekta pod względem naukowym, nie potrzebujemy mówić.

Wynalazki i odkrycia.

— Palenie zwłok ludzkich jest we Włoszech przedmiotem ciągłych badań i doświadczeń. Podczas kongresu lekarskiego, który się odbył dnia 5 b. m. w Medyolanie, spalono na próbę zwłoki pewnej kobiety, zmarłej w szpitalu. Przy akcie tym było obecnych wielu wysokich dygnitarzy, około stu lekarzy i liczne grono uczonych. O godzinie 7. minut 28 z rana zważono ciało zmarłej kobiety i skonstatowano wagę 35 kilogramów, poczem włożono zwłoki do pieca. Spalenie odbyło się podług metody Betti-Teruzzi. Następnie dr. Pini miał dłuższą mowę, w której podnosił, iż największe trudności, jakie stawiano paleniu zwłok, powoli zostały usunięte. Zgromadzeni udali się potem do grobów poety Manzoniego i Rovaniego, aby sprawdzić czy balsamowanie ich zwłok było skuteczne. Od śmierci obu tych znakomitych mężów minęło już trzy lata. Ciało Manzoniego było twarde i suche, zwłoki Rovaniego tak dobrze utrzymane i świeże, że zdawało się iż to spi żyjący człowiek. Następnie dla kontrastu odgrzebano ciało kobiety, która umarła w marcu zeszłego roku. Widok popsutych zwłok był tak okropny, że wszyscy obecni uznali, iż palenie ciał jest najlepszym sposobem niszczenia zwłok ludzkich. Proces palenia zwłok trwał trzy godziny. Po upływie tego czasu wydobyto z pieca popioły, które ważyły tylko dwa kilogramy. Jestto już siódma próba palenia zwłok podług systemu Betti-Teruzzi. Przy sposobności zajmowano się także żywo rezultatami systemu lekarza Gorini z Lodi. Genialny ten medyk wynalazł prawdziwie cudowny sposób uchronienia zwłok od gnilizny; zmienia je bowiem w masę skamieniałą. Pierwszą głośną próbę swego wynalazku odbył dr. Gorini na zwłokach Mazziniego, a przyznać trzeba, że próba ta powiodła się świetnie. Wszyscy, którzy odwiedzali grobowiec Mazziniego, zdumieni byli widokiem ciała, które nic się nie zmieniło od dnia śmierci. Gorini utrzymuje dotąd wynalazek swój w tajemnicy.

— Podmorski tunel. Roboty około budowy tunelu, który ma połączyć pod morzem Francyą z Anglią, rozpoczęły się już od strony francuskiej, gdzie wykopano kilka studni, głębokości mniej więcej około 110 jardów. Jednocześnie oba komitety, tak francuski jak i angielski, ostatecznie zredagowały swą umowę. Tunel ma być podzielony na dwie równe części, z których każda będzie należała do jednej kompanii. Kompanie będą je eksploatować, oraz wybudują swoją część tunelu własnym kosztem. Po trzydziestoletniej eksploatacyi tunelu przez kompanie prywatne, rządy angielski i francuski będą mogły go przejąć na siebie pod pewnymi, z góry określonymi warunkami.

Statystyka.

— Ludność Japonii, według sporządzonego w roku bieżącym na rozkaz mikada spisu, wynosiła 33,625,678 dusz, a zatem prawie tyle, co w pierwszorzędnych mocarstwach europejskich.

Wystawa paryska.

— Henryk Giffard, znany konstruktor balonów, postanowił zbudować balon na wystawę w Paryżu w r. 1878, stosując się do wszelkich ulepszeń, jakie w obecnym czasie pod tym względem zaprowadzono. Otóż balon ten składać się będzie z płótna i materyi kauczukowej warstwami kolejnemi ułożonych, pociągniętych pokostem i pomalowanych na biało, dla zabezpieczenia od promieni słonecznych. Średnica balonu wynosić będzie 34 metry. W spodniej części umieszczone będą dwa wentyle, jeden od odpływu gazu, drugi posłuży za wejście do gondoli zawieszonej nad wielkim kulistym kielichem. Objętość tejże wyniesie 15 metrów i połączoną ona zostanie z kulą balonu za pośrednictwem drabiny, jakiej używają w przystaniach. Do gondoli wsiąść może od 40 do 50 ludzi.

— Podczas wystawy paryskiej będą odbywać się próby balonów nowego systemu. Pan Henryk *Giffard*, któremu wiedza i przemysł wiele ważnych zawdzięczają wynalazków, buduje balon poruszany siłą pary t. z. „ballon captif.“ Objętość jego wynosić będzie 20,000 metrów sześciennych, a ciężar 4000 kilogramów. W gondoli może zmieścić się do 60 pasażerów. Drugi projekt wygotował Dr. Piotr *Morceau* z Saint-apre.

— Korespondent G. W. z Paryża pisze: budynki pod wystawę na Polu Marsowem są bliskie ukończenia. Galerye murowane, obejmujące główną część gmachu, a w których się pomieści wystawa sztuk pięknych, oczekują tylko na zewnętrzną i wewnętrzną ozdobę. Pozostają do zbudowania tylko trzy pawilony, przeznaczone do osobnej wystawy miasta Paryża. Galerye przemysłu są już gotowe. We wszystkich salach tego oddziału układają pułki. Roboty mularskie w dwóch wspaniałych galeryach machin są skończone. Te galerye idą rownolegle po obu bokach prostokąta, tworzącego gmach wystawy. Stykają się one z dwoma ogromnemi przysionkami, z których jeden wychodzi na Sekwanę, a drugi na szkołę wojskową. Główna brama znajduje się od strony Sekwany. Ogrody, pagórki i wodospady, które będą stanowiły zewnętrzną ozdobę wystawy, są już w części przygotowane. Powleczono asfaltem dna stawów i sadzawek, których brzegi obsadzone będą topolami. Na całym obszarze Pola Marsowego zaprowadzają system drenowania, bardzo ciekawy, który zgromadzi wodę deszczową i wodę powstałą z wylewu Sekwany. Osobna pompa będzie wylewała do Sekwany wodę drenami zgromadzoną, której nie spożytkują machiny parowe. Część wybrzeża Orsay, która się ciągnie pomiędzy aleją La Bourdonnaye i mostem Almy, zostanie zajęta pod wystawę płodów i narzędzi rolniczych. Na wybrzeżu Sekwany pomieści się wystawa przedmiotów, mających związek z żeglugą morską i rzeczną. Potężne mury obszernej rotundy na wzgórzu Trocadero już dosięgły szczytu. Na wierzchu zakładają blachy cynkowe, które pokryją galerye, idące na prawo i na lewo pałacu igrzysk. Prowadzą roboty przy urządzeniu wodospadu, który wychodząc z pod rotundy będzie się rzucał do Sekwany. Do koła pałacu Trocadero będą się wznosiły cztery olbrzymie grupy, wyobrażające cztery strony świata. Rzeźbiarz Cain wykona figurę Europy; Fremiot przedstawi Afrykę; Jacquemart opracuje Azyą, a Rouillard wyobrazi Amerykę. Pałac Trocadero, nabyty przez miasto, będzie należał do pierwszorzędnych pomników Paryża. Po wystawie zostanie obrócony na muzeum starożytności. Przy kopaniu fundamentów trafiono na ciekawe skamieniałości. Odkryto skamieniałe raki morskie, dwakroć większe od dzisiejszych, zwanych homarami. Znaleziono inne skorupiaki, które od wielu tysięcy lat tu spoczywały. Skamieniałe amonity ważyły po 12 kilogramów i miały po dwanaście linij spiralnych. Cudzoziemcy, Amerykanie i Anglicy zakupili te osobliwości od robotników, tak, iż ani jedna z nich nie dostała się do muzeów paryskich.

ROZMAITOŚCI.

Fortyfikowanie Torunia za pomocą fortów wysuniętych i otaczających szerokiem kołem miasto, rzecz od dawna zdecydowana a od lat kilku przygotowywana, poczyna się teraz urzeczywistniać. Przed paru miesiącami zakupiono już ziemię nad fort na Bielawach, teraz rozpisano submisyą na budowę dwóch fortów nad szosą do Lubicza (na Bielawach) i nad szosą inowrocławsko-poznańską po lewym brzegu Wisły. Oba forty pobudowane być mają w przeciągu 4ech lat.

Niezadługo Warszawa ujrzy w swoich murach szczególnego rodzaju podróżnika. Jest nim bogaty Anglik, który założył się, że w ciągu lat sześciu przejdzie pieszo naszą półkulę. Wyjdzie on z Calais i przez Francyę, Niemcy, północną Rosyę, Sybir dotrze do Chin, a ztąd przez Indye, Persyę, południową Rossyę, Konstantynopol, Grecyę i Włochy powróci znów do Francyi. — Zakład stanął przed kilku miesiącami, a niezwykły wojażer od 1 lipca r. b. już jest w drodze.

Familia Radziwiłłów, jak donosi „Börscourier“ postanowiła obrócić kapitał 6 milionów marek, zyskany ze sprzedaży pałacu, w którym obecnie zamieszkuje ks. Bismark, na kupno dóbr w ojczystej prowincyi. W tym celu ks. Ferdynand Radziwiłł zakupił nieopodal Ostrowa majętność wynoszącą do 2800 morgów, którą dotychczasowi właściciele nie mogli utrzymać w swoich rękach, a nie chcieli Niemcom sprzedać.

Osman pasza, bohater Plewny, jest według Timesa rodem z Armassia, w Małej Azyi i liczy lat 44. Wykształcenie wojskowe otrzymał w szkole militarnej w Konstantynopolu. W zachodniej Europie nigdy nie był, mówi jednak trochę po francusku. Jest wzrostu słusznego, smukłej i nieco wątłej budowy, ale nadzwyczaj ruchliwy i inteligentny i oddany zupełnie swym obowiązkom. Zajmuje się osobiście każdym szczegółem w swej armii i sam wszystkiem kieruje. Dla swej uprzejmości i miłego obejścia towarzyskiego bardzo jest lubiony przez wszystkich, którzy go bliżej poznać mieli sposobność.

Jeden z wiarogodnych korespondentów angielskich z placu boju donosi, iż pod Kacalewą jeden z najdzielniej się bijących młodych oficerów rosyjskich, którego tamże zabito, okazał się po sprawdzeniu kobietą.

Jedna z uroczystości mahometańskich godnych uwagi jest uroczystość „duse,“ która corocznie w Kairze w dziesięć dni po powrocie pielgrzymskiej karawany z Mekki i Mediny ma miejsce.

W tym dniu szeik derwiszów zwykle przejeżdża na koniu po ciałach leżących na ziemi derwiszów. Przez dziesięć dni derwisze modlą się publicznie do Allaha, ażeby kopyta końskie ich nie pokaleczyły; dziesiątego dnia udają się na obszerny plac i kładą się na piasku zginając kolana do brzucha i kryjąc twarz w rękach; jeden obok drugiego leżą silnie spojeni tak, że ich ciała stanowią rodzaj mostu, aby ciężar konia nie na jednym tylko ciężył. Nakoniec nadjeżdża szeik, przyjmują go głośnym krzykiem — Allah il Allach, i koń pędzi kłusem przez żywy most derwiszów. Ci derwisze, którzy unikają skaleczenia od końskich kopyt, uważani bywają za barдzo nabożnych; ale jeśli któremu kopyto pozostawiło ślady, jest to znakiem, że się nie dosyć modlił.

Krystyna Nilson, słynna śpiewaczka, ofiarowała sumę 30.000 fr. osiągniętą z benefisu na dochód londyńskiego szpitala dla chorób krtani!...

Przed sądem przysięgłych w dzielnicy londyńskiej Old-Bailey, toczyła się w tych dniach ostateczna rozprawa w procesie, który w całej Anglii budził ogromną sensacyą. Przedmiotem procesu była zbrodnia istotnie niesłychana, gdyż rozmyślne zamorzenie człowieka głodem. Na ławie oskarżonych zasiadały cztery osoby: 26 letni Ludwik Adolf Saunton, gospodarz, jego 24 letni brat Llewelly, malarz; żona tego ostatniego Elżbieta Saunton licząca lat 28 i siostra tejże, 20 letnia Alicya Rhodes. Potwory te oskarżone były o zamordowanie żony Ludwika Sauntona przez systematyczne ujmowanie nieszczęśliwej pokarmu. Ludwik Saunton ożenił się z tą ostatnią, starszą od niego o lat 12, jedynie dla jej posagu, posiadała bowiem około 3 tysięcy funtów szterlingów. Odebrawszy w swe ręce cały ten posag, postanowił pozbyć się żony, chociaż już był został ojcem. Z bratem, bratową i siostrą tejże uknuł formalny spisek na życie nieszczęśliwej, która dręczona ciągle przez męża, popadać zaczęła w cierpienie umysłowe. Dla łatwiejszego wykonania zbrodni wysłał Ludwik Saunton swą żonę z dzieckiem do domu brata Llewelly, mieszkającego odludnie w miejscu ustronnem, zkąd już biednej kobiety nie wypuszczono. Głodem, zaniedbaniem najzupełniejszem i wszelkiemi udręczeniami powoli spychano ofiarę do grobu. Matka umarła też po jakimś czasie, a wkrótce za nią i jej dziecko. Tymczasem Ludwik Saunton żył z Alicyą Rhodes jak z żoną, nie troszcząc się wcale o los prawowitej małżonki i dziecka. Nareszcie zbrodnia doszła do wiadomości władzy i przy zarządzonej obdukcyi zwłok, lekarze zdołali jeszcze sprawdzić, iż śmierć nieszczęśliwej nastąpiła wskutek głodu. Sąd przysięgłych pomimo świetnej obrony oskarżonych przez najpierwszych adwokatów londyńskich, uznał wszystkich czworo winnymi rozmyślnego morderstwa i tylko odnośnie do kobiet przypuścił okoliczności łagodzące. Na podstawie tego werdyktu trybunał skazał wszystkich czworo na karę śmierci przez powieszenie. W motywach wyroku sędziowie nazwali czyn oskarżonych barbarzyńskim i prawie bezprzykładnym w rocznikach kryminalistyki.

Sprawa sądowa przez żart. Pan X., leśniczy, przez żart zaskarżył pana Y., przyjaciela swego do sądu gminnego, za to, że palił ogień w lesie, zamierzając następnie sprawę odwołać. Tymczasem stało się inaczej. Sędzia gminny rozpoczął na dobre dochodzenie sądowe i zawezwał pana Y. do sądu. Pan X. nie wiedział o tem, że tylko skargę podaną o przestępstwo prywatne cofnąć można; czyn zaś, popełniony przez pana X. należy do rzędu przestępstw publicznych.

Sąd gminny, wysłuchawszy sprawy i zbadawszy świadków, skazał p. Y. na zapłacenie kary w kwocie rs. 100.

W skutek tak szkodliwego żartu dwaj dobrzy przyjaciele poróżnili się z sobą.

Gazeta „Birż. Wied.“ zapewnia z dobrego źródła, iż ogólna suma codziennych rozrachunków firmy „Horwic-Grezer-Kohan“ z wydziałem ministeryum wojny dochodzi przeciecięciowo 700 tysięcy rs. Firma ta jak wiadomo pobiera dla siebie z powyższych obrachunków 10% komisowego, w skutek też czego dochód jej wynosi około dwóch milionów rs. miesięcznie. Na mocy kontraktu zawartego z polową intendanturą, połowa przypadającej p. Horwicowi i sp. należności wypłaca się złotem, połowa zaś papierami bankowemi.

Telegramy z Ameryki niedawno donosiły o śmierci Brygama Yung.

Prorok Mormonów umarł 16 sierpnia b. r., na zapalenie płuc w mieście Słonem Jeziorze, którego sam był założycielem.

Yung był synem rolnika, urodził się w Wittingamie w stanie Wermont d. 1 czerwca 1801 r., miał więc lat 76.

Około 1831 r. wstąpił do towarzystwa mormonów, którego był wówczas prorokiem głośny Józef Smidt, założyciel tego wyznania. W 1835 r. będąc jednym z dwunastu apostołów, później ich prezydentem, został nakoniec następcą Smidta po jego śmierci. Yung w roku 1847 namówił otaczających go mormonów do emigrowania do ziemi obiecanej „doliny Słonego Jeziora“, gdzie założyli swą kolonię. W 1849 r. nowy stan Dezeret wymagał od kongresu, przyjęcia go do liczby stanów amerykańskiego związku, kongres zgodził się na organizacyę tej strony i wcielił ją w terytoryum pod nazwiskiem „Utah“, a w r. 1850 Brygama Yunga mianował pierwszym jej gubernatorem.

W roku 1857 zamianowano drugiego gubernatora, który nie był mormonem. Ztąd też ustawiczne pomiędzy nimi panowały kłótnie. Budowa kolei żelaznej, która przechodziła przez dolinę Słonego Jeziora, ściągnęła bardzo wielu awanturników do mormońskiego miasta, powstała między niemi partya, nie słuchająca religijnej władzy proroka i w kościele zjawiły się odstępstwa. Heretycy byli przeciwni wielożeństwu, z tego powodu bardzo wielu z nich zabito. Kryzys wybuchnęła w 1871 roku. Rząd posłał wojsko, które ustanowiło władzę federalną. Od tej chwili mormońskie państwo istnieć już przestało. Niedługo potem wielożeństwo, jedno z fundamentalnych ustaw mormonizmu, zostało zakazanem. Yung jednak miał zawsze wiele żon, w liczbie których były tak nazwane „duchowne żony“ — jedna właśnie z takich, piętnastoletnia dziewczyna, porzuciła go, zapozwała do sądu, prosząc o rozwód, który samo przez się natychmiast otrzymała. Sąd skazał proroka posiadającego miliony do zapłacenia swej byłej żonie 3.000 dolarów jako koszta procesu, nadto 900 dolarów miesięcznie alimentów aż do jej śmierci.

Yung był także wmięszany w sławny w swoim czasie proces o wymordowanie przez mormonów karawany, w skutku rozkazów proroka, a to w celu odpędzenia emigrantów do Kalifornii z drogi idącej wzdłuż Słonego Jeziora. Dwóch obwinionych osądzono na karę śmierci; jednego z nich powieszono. Yung jednak został uniewinniony.

Przewidując upadek swej sekty z powodu rozporządzeń władz rządowych Stanów Zjednoczonych, prorok miał zamiar przenieść swój kościół na Wyspy Sandwickie, ale doznawszy tysiącznych przeszkód ze strony władzy, zamiaru swego Yung nie mógł przyprowadzić do skutku. Ciekawa rzecz co się stanie z jego milionowym majątkiem?

Handel sztucznemi oczami w Stanach Zjednoczonych stanowi jednę z najważniejszych gałęzi przemysłu amerykańskiego. Obliczają, że rocznie sprzedaje się tam 8 do 10 tysięcy sztucznych oczów. Jeden z fabrykantów tego wyrobu utrzymuje, że na 125 ludzi w Ameryce przypada jeden, któremu brak oka. Jeżeli przyjmiemy, że ludność Stanów Zjednoczonych wynosi 22 miliony dusz, to według powyższego stosunku takich, co mają tylko jedno oko, byłoby ni mniej ni więcej jak 336 tysięcy. Miasta, posiadające zakłady fabryczne, obfitują głównie w takich kaleków. Najpierwsze miejsce zajmuje pod tym względem miasta Peterson, w którem naprzykład trzech właścicieli jednego fabrycznego zakładu posiada tylko troje oczu. Potem idzie miasto Pitsburg. Nie tylko zepsute powietrze oddziaływa szkodliwie na wzrok, ale i delikatne opiłki metalowe niszczą oczy robotnikowi. Z pomiędzy kolorów sztucznych oczów najwięcej żądanym jest kolor błękitny. Średnia cena sztucznego oka wynosi 10 dolarów.

Niebywały wyścig odbywał się w ostatnich tygodniach w Anglii. Niejaki William Gale, rodem z Cardiff, liczący lat 42, podjął się ubiedz 1500 mil angielskich w ciągu 1000 bezpośrednio po sobie następujących godzin i ku podziwieniu całej Anglii najzupełniej się wywiązał z tego zadania, jedynego w kronikach dzielności nóg ludzkich! Widownią popisu był wielki zamknięty ogród Lilie Bridge Grounds, położony w dzielnicy londyńskiej West-Brompton. Gale biegł zazwyczaj półtora mili jednym tchem w ciągu 20 do 25 minut, poczem 35 do 40 minut odpoczywał. Ostatnie półtorej mili ubiegł w ciągu niespełna 16 minut. Popis odbywał się w obecności niezliczonych tłumów, a po szczęśliwem odbyciu go Gale witany był jak prawdziwy zwycięzca olimpijski. W istocie, nie było jeszcze nigdy takiego popisu. Przed 70 laty kapitan angielski Barclay-Allardice wsławił się już był nad wszystkich współzawodników biegiem 1000 mil angielskich w ciągu 1000 godzin.

Treść Nr. 9.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.